PRO CHRISTO

WIARA I CZYN

ORGAN MŁODYCH KATOLIKÓW — MIESIĘCZNIK

Redaktor odpowiedzialny STANISŁAW BEREZOWSKI

Wydawca: Stowarzyszenie Społecznego Panowania Najświętszego Serca Jezusa w Rodzinach Chrześcijańskich.

Redakcja i Administracja: Warszawa, ul. Moniuszki 3a.

P. K. O. 10.115 Telefon 163-44

Biuro i telefon czynne w dni powszednie od godz. 10—12 i od 15—17
Naczelny Redaktor przyjmuje interesantów w środy i piątki od g. 18 do 19.
Rękopisów redakcja nie zwraca.

Pro Christo!

Spójrzmy prawdzie w oczy...

Nawiązując do dwóch poprzednich artykułów wstępnych, postarajmy się streścić tezy w nich zawarte, aby następnie wyprowadzić odpowiednie wnioski.

W pierwszym rzędzie uzasadnialiśmy, że *nie wolno katolikowi żyjącemu w czasach dzisiejszych zamykać religji li tylko w ramach życia indywidualnego*, lecz przeciwnie należy pojmować jej zasady, jako program do zrealizowania w całokształcie stosunków życiowych. Należy przeto zapewnić panowanie jej zasadom w życiu społecznym narodu.

Następnie zwróciliśmy uwagę na najważniejszy bodaj dzisiaj odcinek życia społecznego, *na kwestję socjalną*. Okazuje się, że znaczna część katolików nie zna tego zagadnienia, lub nim się nie interesuje w dostatecznym stopniu, że mimo wyraźnego stanowiska Kościoła, ujętego w Encyklikach papieskich, mimo wspaniałego wezwania Wielkiego Papieża Leona XIII, znaczna część inteligencji katolickiej w Polsce znajduje się po dziś dzień pod wpływem przestarzałych pojęć liberalno-kapitalistycznych, sprzecznych z nauką naszej religji, że skutkiem tego istnieje u nas pewien mur chiński wzajemnej obcości i niezrozumienia wzajemnych potrzeb i interesów między inteligencją a robotnikiem polskim, że w konsekwencji

tego stanu rzeczy pogląd na masy ludowe uzyskuje w Polsce coraz bardziej typ inteligentnego, pozbawionego skrupułów i gotowego na wszystko radykała, bardzo często pochodzenia żydowskiego.

Przejdźmy teraz do dalszych rozważań.

Czy istnieją katolicy, którzy nie zdają sobie sprawy, że *rozpoczął się już koncentryczny i planowy atak zorganizowanych żywiołów antyreligijnych na realne pozycje katolicyzmu w Polsce.* Jeżeli są jescze tacy, niech przeczytają sobie sprawozdania posiedzeń komisji budżetowej Sejmu, lub choćby artykuły, omawiające szczegółowo tę sprawę w tym samym numerze „Pro Christo"—a wówczas pozbędą się szkodliwych iluzji.

„Point de reveries" — Nieprzyjaciel zdobył już pierwsze linje okopów i szykuje się do decydującego uderzenia w samo serce naszych pozycji: w rodzinę, w szkołę, w konkordat!

I łudziłby się ten, ktoby powodzenie akcji katolickiej w Polsce opierał jedynie i wyłącznie na praktykach religijnych i mówił: „Dobrze jest. Wszak dużo ludzi było na pasterce, a tłumy całe przystępowały do spowiedzi wielkanocnej".

Niewątpliwie, praktyki religijne są pierwszym i najniezbędniejszym przejawem katolicyzmu i musi radować się serce każdego dobrego katolika, gdy widzi podczas świąt i uroczystości olbrzymie tłumy ludzi, dające zapomocą praktyk religijnych wyraźny dowód swego tradycyjnego przywiązania do Kościoła.

Ale niech obraz ten nie przesłania nam innych faktów. Nie zapominajmy o tem, *że ci sami ludzie, żarliwie i szczerze modlący się po kościołach, podczas wyborów oddają tłumnie swoje głosy na P. P. S., Wyzwolenie, Partję Chłopską, a nawet komunę—wogóle wszelkie ugrupowania notorycznie zwalczające Kościół i religję. Religja ich bowiem opiera się wyłącznie na tradycji, a nie uświadomieniu.*

Do czego taki stan rzeczy może doprowadzić.? Do tego, co się dzieje we Francji, gdzie kościoły też są często przepełnione żarliwie rozmodlonym tłumem wiernych, a *krajem rządzi od lat kilkudziesięciu oligarchja masońska,* która zlikwidowała systematycznie wszystkie publiczne instytucje religijne, narzucając przyszłym pokoleniom przyzwyczajenia i tradycje pogańskie. Tradycja bowiem jest twierdzą obronną, która może być uży-

ta, zarówno w obronie katolicyzmu, jak i zakorzenionych już np. w społeczeństwie francuskiem zasad literalno-materjalistycznych.

U nas jeszcze tradycja, zwłaszcza wśród mas ludowych stoi raczej na usługach katolicyzmu. Ale mury obronne tej tradycji są już stale i systematycznie rozbijane i kruszone przez silnie zakorzenione i wpływowe wśród mas organizacje radykalne, które w walce z katolicyzmem potrafią umiejętnie i skutecznie posługiwać się hasłami socjalnymi.

A przecież musimy pamiętać, że o tem, czy Polska ma być w przyszłości państwem katolickim, czy pogańskim—decydować będzie nietylko inteligencja, ale i lud, a raczej *lud pod kierownictwem zorganizowanych kadrów inteligencji.* Taka już jest struktura czasów dzisiejszych.

Jeśli do tej pory inteligencja katolicka nie zdołała uzyskać wśród ludu wpływów dostatecznych, któreby gwarantowały charakter katolicki naszego narodu i państwa—to w tem musi się kryć poza warunkami terenu pracy—jakiś błąd zasadniczy, jakaś przyczyna szczególnie ważna.

Tą przyczyną jest fakt, że *poza nielicznymi wyjątkami, ludzi zapracowujących się po łokcie w stowarzyszeniach i związkach ruchu chrześcijańsko-społecznego, ogół naszej inteligencji katolickiej, czy duchownych, czy świeckich — nie zna zagadnień socjalnych i nimi się wogóle nie interesuje.*

I dlatego ludzie ci nie mają dostępu do warstw ludowych, nie mają z nimi wspólnego języka. *Chłop bowiem i robotnik stanie się zwolennikiem tylko takiej organizacji i tylko takim przywódcom da się powodować, którzy poza obroną zasad moralnych wezmą również w obronę jego interesy ekonomiczne i to w sposób wyraźny i zdecydowany.*

Point de reveries... Jeżeli inteligencja katolicka w Polsce, a zwłaszcza młode jej pokolenie nie pójdzie za mądrymi i wiekopomnymi wskazaniami Ojca św. Leona XIII i nie wytworzy w sobie potężnego pędu do pracy na terenie realnych warsztatów działalności katolicko-socjalnej—będziemy wkrótce mieli w Polsce męczenników, tak, jak w Meksyku, albo jeszcze gorzej—urządzenia życia publicznego będą służyć do stystematycznego zatruwania ducha społeczeństwa, jak we Francji!

Katolicyzm i wówczas nie zginie, bo jest nieśmiertelny, ale ile klęsk, ile daremnych wysiłków, ile zniszczenia może przejść przez Polskę.... *Stefan Kaczorowski.*

*
* *

Ponad te kłótnie, nad te ziemskie swary,
nad te zwycięstwa z pomocą oręża
wznosi się Kościół katolicki stary,
który miłością i pracą zwycięża.

Miłością twórczą wrogów pokonywa,
miłością—czynem w imię Chrystusowe,
a ciżba wraża, zguby jego chciwa,
z podziwem przed nim skłaniać musi głowę.

J. M. Ch.

Msza święta.

Spiew Gregorjański.

II.

Zanim zaczniemy zaznajamiać czytelnika z mszą św. trzeba nam jeszcze powiedzieć kilka słów o muzyce i śpiewie używanych w liturgji rzymskiej.

Kościół ma swój śpiew własny, śpiew uświęcony, który jako wyraz modlitwy żadnemu innemu nie ustępuje.

Nazywa się on „Cantus planus“, to jest śpiew o nutach równej wartości, „Cantus firmus" dla jego spokoju i niebiańskiej pogody i „Cantus choralis”, gdyż śpiewany jest chórem — „Cantus liturgiens”, gdyż służy liturgji; „Cantus gregorjanus“, gdyż dał mu impuls św. Grzegorz Wielki († 604).

Zawdzięczamy temu wielkiemu papieżowi, benedyktynowi, uporządkowanie obecnego repertuaru muzycznego.

Za Karola Wielkiego śpiew gregorjański rozchodzi się po całem jego państwie.

W IX w. powstają szkoły śpiewu w St. Gall i w Metz.

W XI w. Guy z Aresso ułatwia wykonanie śpiewu gregorjańskiego wprowadzeniem pięciolinji.

Ale w XVI w. z nastaniem „Odrodzenia” i z powrotem do pojęć bardziej pogańskich, prostota melodji gregorjańskich już nie wystarcza — trzeba już rzeczy bardziej skomplikowanych, bardziej ludzkich, a zatem mniej bożych. Będzie to panowanie

polifonji, instrumentów smyczkowych, orkiestry, śpiewu solowego, które się rozszerzy w chrześcijaństwie i trwać będzie tak długo, jak długo znaczenie liturgji będzie zapoznane.

W XIX w. dopiero D. Gnesanger, odnowiciel ideału benedyktyńskiego we Francji, wtajemniczył uczniów swoich w znajomość starożytnych melodji liturgicznych. Odtąd prace Dom Pothier i Dom Mocquerau rzuciły pełne światło na śpiew gregorjański.

Nakoniec „Motu proprio“ Piusa X (z dn. 22 list. 1903 r.) zatwierdza ostatecznie pierwszeństwo śpiewu gregorjańskiego w liturgji rzymskiej: „On jeden jest prawdziwą, śpiewaną modlitwą Kościoła — Jeden głos, jeden dźwięk, jedna dusza, jedno serce, jedna modlitwa, potężna, jak ton całego Kościoła. Ile powagi, spokoju, majestatu w tym śpiewie! a jaka prostota środków, aby wywrzeć, nie szukając tego, tak potężne wrażenie“.

Czy może być coś bardziej poruszającego i podnoszącego, jak głos tłumu, wyznającego Credo lub szepczącego „Kyrie eleison“!

A jednak Kościół nie jest ciasny. Nie wyklucza innej muzyki religijnej.

W wielkich kościołach i katedrach śpiew wielogłosowy, klasyczny w rodzaju „Palestriny“ lub „de Monte“ jest zupełnie dozwolony. Szkoła nowoczesna może w tym zakresie twórczość szeroko rozwinąć.

Trzeba jednak liczyć się z tem, że dzieła muzyczne religijne będą o tyle święte i liturgiczne, o ile w natchnieniu, smaku i tempie zbliżać się będą do melodji gregorjańskich—o tyle mniej będą godne Kościoła, o ile bardziej oddalać się będą od tego wzoru.

Nie zapominajmy o tem, że kościoły nasze nie są salonami ani salami teatralnemi, ale są domami modlitwy, wszystko więc, co może odwracać uwagę naszą od modlitwy, powinno być z nich na zawsze wykluczone i wygnane.

Aspersja wodą święconą w niedzielę.

W niedzielę przed sumą kapłan kropi wodą święconą lud zgromadzony. Woda ta przedtem została we właściwy sposób poświęconą.

Woda od niepamiętnych czasów uważana była jako symbol oczyszczenia.

Chrześcijanie używali jej z początku tylko do chrztu św.

Należało jednak, aby kapłani, mający odprawiać mszę św., mieli ręce czyste, równie jak i wierni, którzy początkowo do rąk brali Eucharystję świętą. Stąd zwyczaj w dawnych bazylikach, że świątynia była poprzedzona sienią lub dziedzińcem (dawne „atrium" rzymskich domów), gdzie się znajdowała fontanna.

Już w II w. Tertuljan mówi o wodzie święconej.

Gdy przedsionek kościelny zmniejszył swój obszar do tego stopnia, że się stał kruchtą, fontanna zmieniła się w prostą kropielnicę, do której wierni przychodzą nie dlatego, aby umyć ręce, ale tylko, aby umoczyć palce, wyobrażając w ten sposób oczyszczenie duszy.

W w. IX zaczął wchodzić w użycie, a w w. X-ym stał się ogólnym zwyczaj święcenia wody przed mszą św. w niedzielę i kropienie nią wiernych, którym też wolno było zabierać wodę święconą do domu (sobór w Nantes koło 900 r.).

Do poświęcenia wody kapłan używa wody zwyczajnej i soli. Bierze on naprzód sól, potem wodę, którą egzorcyzmuje, wrzuca sól do wody i błogosławi, odmawiając przepisane modlitwy.

Co znaczą te ceremonje?

Właściwością soli jest zabezpieczenie od zepsucia — właściwością wody—oczyszczenie. Kapłan *egzorcyzmuje* je, t.j. oddala wszelkie wpływy djabelskie, co zresztą Kościół czyni zawsze, ilekroć przeznacza rzecz jakąś do użytku świętego.

Miesza sól z wodą, aby ta woda święcona zarazem strzegła od zepsucia i oczyszczała.

Błogosławi je, czyniąc znak krzyża, który jest bronią zbawienia i źródłem łask wszelkich.

Modli się: chce uprosić dla tej wody moc wypędzenia szatana z dusz naszych, z naszego ciała, z naszych mieszkań, moc leczenia naszych chorób i ściągnięcia do dusz naszych obecności i pomocy Ducha św.

Woda święcona należy do sakramentalji t. z. ma moc odpuszczania grzechów powszednich dla tych wszystkich, którzy używają jej z wiarą w Jezusa Chrystusa i ze skruchą za grzechy.

Zwyczaj kropienia wodą święconą stał się ogólnym na Zachodzie.

Aspersja ma miejsce przed rozpoczęciem najwznioślejszej czynności liturgicznej, mszy św., aby nas nauczyć tej wielkiej prawdy, że się nam trzeba oczyścić przed tak wielką sprawą Jakaby nie była zresztą nasza modlitwa, powinna wychodzić z serca czystego. Takie ma znaczenie symbol wody święconej, której używamy wchodząc do kościoła, pozostałość dawnego zwyczaju oczyszczenia zewnętrznego przez umycie rąk.

Zwyczaj wypływający z potrzeby materjalnej (mieć ręce czyste), zamienił się w obrządek bardzo wyrazisty. Niestety, zapomniano do tego stopnia, jakie jest pochodzenie, a nawet jaki jest cel najbliższy tego zwyczaju (oczyszczenie wewnętrzne przez modlitwę), że wierni biorą też wodę święconą wychodząc z kościoła. Pomimo przywiązanych doń 100 dni odpustu, zwyczaj ten, w tej właśnie chwili jest raczej niefortunny, gdyż czynności związane z kultem, nie powinny być brane z punktu widzenia otrzymywanych odpustów, ale przedewszystkiem ze względu na cel, dla którego postanowione zostały.

Jeżeli się rozumie znaczenie obrządku przeżegnania się wodą święconą przy wchodzeniu do kościoła, byłoby więcej w duchu liturgicznym, a zatem zgodniejsza z duchem Kościoła, nie używać wody święconej, wychodząc.

Podczas aspersji chór śpiewa antyfonę następującą, po której dodaje pierwszy werset psalmu „Misesere" i Gloria Patri·

„Asperges me. Domine, hyssopo, et mundabor: lavabis me, et super nivem dealbabor (Ps. L. 9).	Pokrop mnie, Panie, hyzopem, a będę czysty; obmyj mię, a nad śnieg wybieleję.

Kapłan kropi naprzód ołtarz, aby oddalić odeń ducha ciemności, kropi siebie, potem obecnych.

To przypomnienie ps. miserere ma na celu wyrażenie skruchy, którą powinniśmy być przejęci przed otrzymaniem łaski ofiary Eucharystycznej.

W czasie wielkanocnym chór śpiewa antyfonę następującą, a po niej 1-szy werset ps Confitemini (ps. 117):

„Vidi aquam egredientem de templo a latere dextro, alleluia. Et omnes, ad quos pervenit aqua inta, salvi facti sunt et dicunt: alleluia, alleluia, alleluia.	Ujrzałem wodę, wypływającą z pod świątyni, od strony prawej, alleluja. I wszyscy, do których doszła woda ona, zostali zbawieni i wołać będą: alleluja, alleluja, alleluja.

Te słowa przypominają nam owoce zbawienne chrztu św., owoce, które zawdzięczamy przebitemu Sercu Pana Jezusa, prawdziwej świątyni Bożej.

Stąd też uczucia radości w tej antyfonie.

Przychodźmy zawsze wczas do Kościoła, aby skorzystać z łask, do Aspersji przywiązanych.

Gdybyśmy mieli więcej wiary! (d. c. n.)

D. Karol van Ovst, O. S. B.

DYSPUTY.

Pyt. Religja uczy, że śmierć chrześcijan i męczeństwo za przekonania religijne jest dowodem boskości religji. A tymczasem niektórzy heretycy, jak np. Hus, ponieśli śmierć w obronie swojej herezji. A zatem męczeństwo, czyli śmierć za przekonania religijne, nie jest dowodem boskości religji.

Odp. Fakty męczeństwa za wiarę są wyprawdzie dowodem apologetycznym tej wiary, lecz zewnętrznym i drugorzędnym. Prawdziwość zasad wiary winna być już przedtem stwierdzona na podstawie argumentów wewnętrznych, wypływających z samej ich treści.

Przytem wtedy tylko może być ten dowód brany w rachubę, jeżeli jest faktem powszechnym, gromadnym. Wypadki sporadyczne, jednostkowe siły dowodowej jeszcze nie mają, bo można je wytłomaczyć w inny sposób, np. uporem, pychą, chorobliwą ambicją, stanem psychopatycznym i t. p.

Fakt męczeństwa musi występować jednocześnie z innemi okolicznościami, stwierdzającemi niewinność, bezinteresowność, szlachetność i stan normalny ofiary prześladowania religijnego. Dopiero wtedy może być uznany za dowód przekonania religijnego.

Męczenników z czasów pierwszych chrześcijan, mamy kilkanaście miljonów, ludzi z różnych stanów i płci, w różnym wieku, od dzieci począwszy aż do starców nad grobem, prostaczków i uczonych, niewolników i z domów panujących, nędzarzy i bogatych, słabych i mocarzy. W następnych wiekach, aż do naszych czasów, nie brak ich również nigdy. Przykładów mamy dość naocznych, choćby z niedalekiej Bolszewji, lub Meksyku.

Nie przesądzamy, nie możemy nigdy sądzić, jak Pan Bóg przyjął śmierć np. Husa, czy innych „męczenników“ herezyj i schizm, bo Pan Bóg patrzy zawsze na duszę człowieka, której my nie przenikniemy, nawet po najściślejszych badaniach naukowych. A może ten czy inny człowiek umierał, kładąc z całem przekonaniem swe życie na stwierdzenie swych poglądów. Pan Bóg policzy mu to wtedy napewno po swojemu, t. j. przyjmie go za swego męczennika, bo właściwie subjektywnie on za niego umierał. Historja i prawo na podstawie dokumentów zewnętrznych i kodeksów swoich wyda zawsze sąd, odpowiedni do swych artykułów i dlatego nie można z tych jednostkowych faktów czynić naukowego argumentu. Zasadą życia każdego człowieka powinno być: dojść prosto i szczerze, z dobrą wolą do swego światopoglądu, pamiętając jednak, że nad przemijające poglądy jednostek, wznosi się autorytet Kościoła Bożego. Bóg patrzy tylko na duszę i żąda prostoty, szczerości i dobrej woli, popartej możliwym wysiłkiem.

Łaski swojej nie odmawia wtedy nikomu.

* * *

Pyt. Kościół uczy, że szybkie rozpowszechnienie chrześcijaństwa dowodzi boskości religji katolickiej, a przecież inne religje, jak np. mahometanizm, protestantyzm, także prędko rozszerzyły się po świecie. Przeto szybkie rozpowszechnienie chrześcijaństwa niczego nie dowodzi.

Odp. I to jest również zewnętrznym i drugorzędnym argumentem apologetycznym. I jego również nie można brać bezkrytycznie i powierzchownie. Rozważyć należy okoliczności towarzyszące temu faktowi, bo wiele rzeczy i zwyczajów przyjęło się powszechnie i bardzo szybko, ale to nie jest jeszcze dowodem ich nadnaturalności. Weźmy choćby pod uwagę np. obłudę i kłamstwo w stosunkach ludzkich, a szczególnie w polityce międzynarodowej.

Nic dziwnego, że szybko rozszerzył się mahometanizm, który dawał folgę wszystkim podejrzanym skłonnościom ludzkim i pobudzał fanatyzm religijny obietnicą raju o również podejrzanych rozkoszach, a przytępiał głos sumienia swą nauką o nieuniknionem fatum.

Nic dziwnego również, że tak się stało z protestantyzmem, przynajmniej w początkach jego historji, bo otwierał naoścież

bramę do nieskrępowanego żywota, na co nie pozwalała etyka katolicka. Ale że chrystjanizm pierwotny objął odrazu tysiące i w krótkim czasie miljony wiernych wyznawców, że przeniknął wszystkie lądy i morza, że dotarł do wszystkich narodów i mimo przemocy pogańskiej pociągał ku sobie jakąś nieznaną mocą, która kazała się ludziom wyrzekać wszystkiego, porzucać „wygodę“ życia pogańskiego, sprzedawać majątki i kłaść je u nóg apostołów, odwracać się od ponęt zepsutego świata i oddać się dobrym uczynkom, modlitwie i pokucie nieraz bardzo surowej, dając w perspektywie — arenę Circus maximi, kły dzikich zwierząt, pochodnie Cezara, lub w najlepszym razie cuchnące więzienie albo zesłanie zdaleka od ludzi. — Czem to wytłomaczyć? Nie było w tem nic absolutnie z tego, co zwykło pociągać ludzi, za czem ludzie gonią przez życie, co im się podoba i dogadza. Na żaden ziemski sposób tego nie wytłomaczymy, a nie możemy przypuścić, że całe te miljony ludzi cierpiały na jakąś manję prześladowczą, na zwyrodniały sadyzm, lubujący się w cierpieniach i torturach własnych, uległy zbiorowej suggestji, lub wogóle były anormalne. — Pozostaje tylko jedno: siła nadnaturalna, łaska Boża, moc prawdy, podbijającej dusze i serca.. jednem słowem, boskość religji.

Tu było bohaterstwo, w mahometanizmie fanatyzm, w protestantyzmie rozwiązłość.

Mówimy tutaj, oczywiście, o pierwszych pionierach tych kierunków, którzy na sobie odbili całą ideę nauki wyznawanej. Następne pokolenia szły już drogą utartą i mogły bez przeżywania wewnętrznego kryzysu znaleźć w każdej z tych religji prawdę, czy jej cząstkę i do tej prawdy szczerze się przywiązać — co im dobry Pan Bóg policzy napewno za zasługę rzeczywistą — lecz pierwsze szeregi świadczą nieomylnie o ich wartości i pochodzeniu.

* * *

Pyt. Przeciwnicy cudów, widząc, że nie można zmartwychwstania Chrystusa wytłumaczyć wykradzeniem przez Apostołów Ciała Jego z grobu, wystąpili z innem przypuszczeniem—również niepsychologicznem, jak pierwsze. Mianowicie większa część racjonalistów utrzymuje, że te zjawienia się Chrystusa po Jego śmierci krzyżowej, o których księgi Nowego Testamentu wspo-

minają, nie były rzeczywistością, ale tylko złudzeniem, a właściwie hallucynacją.

Odp. Stwierdzamy naprzód, że Ewangielje są dokumentem historycznym, że sami Ewangeliści znani są, jako autorzy wiarogodni, światli i bezstronni i że fakty poszczególne, nietylko ogólne tło treści ewangielicznej są stwierdzone historycznie — co wszystko obszernie i naukowo stwierdza apologetyka oparta na archeologji, historji, geografji, etnografji i t. d. i t. d.

Z tego powodu trudno w dziele tak poważnem i krytycznem dopatrywać się błędów historycznych, zwykłego oszustwa lub fatalnej omyłki, zwłaszcza—jeżeli mowa o złudzeniach i hallucynacjach—że pisane były w kilkadziesiąt lat po faktach opisanych, gdy już był czas na rozwianie się tych złudzeń pod wpływem następstw dziejowych. (Pierwsza Ewangielja napisana była prawie w 20 lat po Zmartwychwstaniu Chrystusa, ostatnia w lat sześćdziesiąt).

Lecz przypuśćmy...

Zbadajmy tylko bezstronnie, czy możliwa tam była hallucynacja?

Złudzenie, hallucynacja, autosuggestja, czy suggestja zbiorowa, według praw psychologicznych, wymagają pewnych warunków uprzednich. Wszystkie te objawy występują zawsze na podłożu pewnego wmówienia w siebie, czy w otoczenie jakiegoś bardzo silnego pragnienia, które w końcu przybiera formę duchowej fata-morgany, graniczącej w swem oddziaływaniu z rzeczywistością.

Gdzie tego pragnienia niema, gdzie jest realizm życiowy i trzeźwość sądu, tam trudno o coś podobnego, a już psychologicznie są te zjawiska wręcz niemożliwe przy nastrojach i usposobieniach przeciwnych.

Tam, gdzie straciliśmy wszelką nadzieję i poddaliśmy się rozpaczy—nie wmówimy w siebie rzeczy już nieoczekiwanej zupełnie i przekreślonej w naszych możliwościach.

Przypatrzmy się grupie apostołów i uczniów Chrystusowych po tragedji Kalwaryjskiej. Niebardzo to pochlebne dni w ich historji.

Depresja zupełna, rozwianie wszystkich nadziei, skrzętnie i tajemniczo w duszy chowanych, ruina bezpowrotna najpiękniejszych marzeń, a — co gorsza — duch zwątpienia i żalu w stosun-

ku do Mesjasza, jak to widać ze słów uczniów, idących do Emaus: „Myśmy myśleli, że on odbuduje Królestwo Izraelskie, a tymczasem...“ Jednocześnie z zawaleniem się pięknej legendy o Mesjaszu-Królu ziemskim, gdy wszelka łączność ideowa z potępionym przez władze i straconym haniebnie buntownikiem przeciwko Prawu i Cesarzowi groziła śmiercią lub więzieniem, opanował ich serca lęk i paniczny strach. Naprzód uciekli od Mistrza, a później zamknęli się wszyscy w wieczerniku, nie śmiąc wyjrzeć na ulicę, by kto z tłumu nie wskazał na nich palcem i nie zawołał: „i tyś był z Jezusem Nazareńskim, bo i mowa sama cię zdradza..." Jakżeż w takich okolicznościach mogła się zrodzić wśród nich myśl o zmartwychwstaniu, lub pragnienie tego, a stąd wizja hallucynacyjna i wmówienie w siebie i we wszystkich, że widzą Chrystusa w chwale...?

Zachowanie sic ich na pierwszą wiadomość o ukazaniu się Chrystusa dowodzi bezsprzecznie ich wprost przeciwnego usposobienia. Nie wierzą, posądzają o plotki: „I zdały się im jako plotki słowa te i nie wierzyli im". (Łuk. 24: 11). Czyżby tak mówili ludzie zasuggestjonowani? „Nie uwierzę, dopóki sam nie ujrzę i nie dotknę się ran Jego“ — mówił typowy ich pod tym względem przedstawiciel, Tomasz Apostoł. Trudno wreszcie pomyśleć o tej samej hallucynacji, występują w tym samym prawie czasie, na różnych miejscach i u różnych osób, bez żadnej zmowy, ani wiadomości o sobie. Chrystusa widziały niewiasty u grobu, Magdalena, uczniowe w wieczerniku, uczniowie w Emaus, wreszcie cały tłum w Galilei.

A Jezus wymawiał niedowiarstwo ich i zatwardziałość serca; iż tym, którzy go widzieli, że zmartwychwstał, nie wierzyli". (Mar. 16: 14).

Nie poddawali się więc suggestji, nie mogło być mowy o hallucynacji.

Chrystus sam nie potrzebuje dowodów swej boskości, bo On jest i będzie zawsze Prawdą wieczną, ale żal wielki tych ludzi, którzy, wątpiąc w Niego, nie mają fundamentu życiowego, ani przyjaciela, ani prawdziwej radości życia.

Do nich przemawiamy po ludzku, używając ludzkich argumentów. Czy im zabłyśnie promyk bożego światła?

* * *

Pyt. Czy to jest pycha? Rok temu przeszło zmieniłam się nagle (pod wpływem św. Tereni w kościołku Imienia Jezus) powiedziałam i ogłosiłam, że będę świętą, więc niech wszyscy patrzą i uważają, jak się to łatwo robi. Wkrótce wytworzyła się taka atmosfera, że całe moje otoczenie myślało o „doskonaleniu się" i pamiętało o Bogu.

Coprawda ciężko mi; jeszcze prawie co miesiąc popełniam coś, co może być grzechem—ale ogół myśli, że mi lekko, opinja wyolbrzymia moje cnoty. Zdawało mi się, że mojem powołaniem jest być żywem memento, zmuszać ludzi do myślenia i pamiętania dokąd idą. Nietylko sama żyję tak „natarczywie" ale zmuszam osoby, które żyją nienagannie, aby się jasno opowiedziały, skąd siłę czerpią i z pod czyjej są chorągwi. Troszkę strach tak wszystko czynić w Imię Jezusa, ale gdy się kocha... Czy to pycha czynić z siebie wzór? Czy raczej — pokora, narażać się co krok na ciężkie upokorzenia?... Czym ja faryzeuszem, czy też kroplą, która drąży skały, lub iskrą, co roznieca pożary?

Odp. Trudno to nazwać pychą, nie można nawet tego tak nazwać. Pychą byłoby to wtedy, gdyby człowiek stanął przed tłumem, względnie kółkiem swoich najbliższych i oświadczył im, żeście wogóle niewiele warci, i ja tylko jeden pomiędzy wami jestem święty i naśladowania godny... Patrzcie i uczcie się odemnie świętości prawdziwej, bo wszystko, cokolwiek poza mną jest, jest grzechem i niedoskonałością.

Nie chodziłoby tu zresztą o formę i słowa, ale o myśl zasadniczą, przeświadczenie i ukryty cel wyniesienia się ponad nikczemny plebs powszednich grzeszników.

Ale, gdy kto w pewnym momencie życia pod wpływem nagłej błyskawicy, która się nazywa łaską bożą, a daje takie światło nigdy przedtem nieprzewidziane, ani nawet nieszukane specjalnie z jakiegoś mglistego przeczucia, że człowiek olśniony tym blaskiem rzuca się naoślep w rozsłonecznioną drogę do Boga, która się nagle przed oczyma duszy otworzyła i widzi, że „wszystko uczynić mogę w tym, który mnie umacnia" i że „słodko jest wyznawać Panu" i służyć Mu i być „świętym" i wtedy, rozmiłowawszy się w tym dobrym, najlepszym Bogu, idzie do ludzi i dzieli się z nimi swą łaską, a dla ich pokrzepienia i porwania za sobą mówi: patrzcie na mnie, słabego i takiego, jakiegoście znali przedtem, co może zdziałać łaska dobrego Boga

w nas... świętym będę... bo Bóg tego chce i patrzcie, jak się to łatwo z tą łaską bożą robi...!" i nie uważa na to, że choć w Imię Jezusa mówi i dlatego, że Go kocha, spotkają go za to upokorzenia i drwiny...—to nie jest pycha, ale, powiedziałbym, niepohamowany wybuch dziecięcej i prostej miłości ku temu dobremu Bogu, naturalny odzew—a rzucone hasło boże. I jest się wtedy „kroplą, która drąży skały i iskrą, co wznieca pożary".

Ale... przyznać trzeba otwarcie, że jest to przedsięwzięcie zbyt ryzykowne, a na chłodno wzięte nawet nieroztropne i może być wytłumaczone tylko niezwykłem natchnieniem bożem i podniesieniem ducha po doznanej łasce. Jest zbyt ryzykownem i niebezpiecznem, albowiem zapał może łatwo się ostudzić, a krytyka i zła wola ludzka zaostrzyć swoje oko i wyciągać z nieznacznych ułomności naszych argumenty wprost przeciwne naszym świętym zamierzeniom. Jest zbyt niebezpiecznem, bo to nakłada na nas w konsekwencji bardzo ciężką odpowiedzialność i obowiązek trzymania na każdy dzień oburącz wysoko naszego sztandaru, któryśmy rozwinęli nad głowami naszemi, by lśnił całem bogactwem swych barw i odcieni w jasnych promieniach świętości bożej.

Noblesse oblige... a tembardziej proklamowane hasło świętości bożej.

Ale proszę być spokojną zupełnie. Pan Bóg tak kocha dzieci, tak rozmiłowany jest w duszach prostych i zapalnych, tak Mu jest dobrze w ich gronie zawsze, że już On sam postara się, by wszystko było dobrze. Jeden warunek. Proszę pamiętać, że cokolwiek się stanie—Bóg wszystko działa w naszej duszy. Nie nasza to zasługa. Myśmy Mu oddali serce, duszę, zapał, entuzjazm, gotowość na wszystko—i to było też łaską bożą—reszta od Niego jest i będzie.

Nie my świętymi będziemy, ale świętość boża w nas. Czy zgoda?

* * *

NAJDROŻSZY AMICUSIE!

Pyt. Od roku tak Amicusa nazywam w sercu, listownie nie śmiałam, cieszę się, że ktoś inny śmiał i że to zostało cierpliwie przyjęte. Byłoby brakiem umartwienia wypisać wszystkie

serdeczności i zachwyty (nad „T. P.") jakie mi się pod pióro cisną, więc je pomijam, a przystępuję odrazu ad rem:

Amicus nic nie rozumie! Nie można cały rok stać na jednym czubku miłości i zadowolić się szczuplutkim horyzontem, choćby najsłoneczniejszym! Nie wszyscy ludzie potrzebują być przekonywani, że jest Bóg i że jest nadzwyczajny pod każdym względem, albo że piekło jest zgotowane djabłu i aniołom jego nie zaś ludziom.

Ze swego szczytu Amicus widzi same zgięte grzbiety i z góry patrząc na mizerne dusze, wyobraża sobie, że wszystkie są zahukane i trzeba je „ośmielić".

Amicus jest upojony Jezusem i nie chce myśleć trzeźwo: wszystko jest różowe i basta! To bardzo śliczne w 80-ciu wypadkach, ale w skromnych 20-tu ta metoda zawodzi.

Pora chyba, żeby Najdroższy i Czcigodny Amicus zajął inny punkt obserwacyjny, t. j. z większą uwagą przyglądał się szaremu tłumowi „przyjaciół". Ot, taki nieciekawy okaz jak ja: o jednym tylko grzechu w życiu wiem, że go napewno popełniłam (na pytanie, czy mię pies ukąsił dałam odpowiedź prawie twierdzącą, co było kłamstwem) a inne grzechy — nie wiem, czy były grzechami. Czy to prawdopodobne?

Gdyby Amicus był doświadczony, toby mię przekonał, że jestem grzeszna, ale Amicus to samo myśli co ja i wszyscy... Niech Amicus się zastanowi, jakie to niebezpieczne dla mojej pychy! Ja i tak wierzę i wiem, że będę świętą. Amicus był moją ostatnią deską ratunku i jeszcze raz się zawiodłam.

Co ja mam zrobić, żeby uwierzyć w swoje grzechy napewno i móc żałować za nie? Kiedy Amicus jest dobry, to niech będzie dobry do końca.

Tydzień temu skończyłam 25 lat, a już 3 lata przed 1-szą Komunją św. zaczęłam naśladować świętych. Zdaje mi się, że jeszcze mam przed sobą dwa lata umierania. Jestem bardzo samotna, nie mogę bywać u mądrego spowiednika i już się prawie nie doskonalę. Co począć? Żadnych rekolekcji słuchać nie mogę, jedynie „Pro Christo" rozgrzewa moją oziębłą duszę—ale żalu za grzechy też nie wzbudza: wdzięczność i radość, to moje dominujące uczucia (nawet kiedy miałam 40° gorączki).

Byle jaką doskonałością się nie zadowolnię. Zdeptałam wszystkie róże i tulę ciernie, ale to niedosyć: chcę kochać he-

roicznie, t. j. tak, by siłą woli dźwignąć ciało z łóżka i rzucić je na usługi bliźnich. Niech Amicus co ze mną zrobi, żebym była czysta jak cherubin, a jak serafin rozkochana.

Bardzo się pobrudziłam w życiu, ale nie mogę uznać, że to moja wina. „Pro Christo" czytam b. sumiennie, więc jeśli będzie choć cień odpowiedzi, odszukam.

P.S. A może to szukanie ulgi i niedoskonałość?!

Odp. Co ja mam z Wami wszystkimi, Boże Kochany!—to ludzkie pojęcie przechodzi! Tłomaczyć i tłomaczyć ciągle to samo „de capo" i znowu ta sama historja. A więc, jeśli chcecie koniecznie — to jesteście wszyscy pyszni i próżni, —cieszcie się więc, że macie grzechy, bo, jak widzę, bardzo wam jest przykro, że ich w sobie nie widzicie.

Ale żart na stronę... Odpowiadam pokolei.

Naprzód więc, co do mego „punktu obserwacyjnego". Ani myślę go zmieniać kiedykolwiek, bo mam tę pewność, że nareszcie znalazłem prawdę.

Prawda jest jedna i każdy ma do niej prawo, głosić ją więc trzeba wszystkim. Jeżeli wielu ludzi, choćby 80%, nie potrzebowało dowodzenia o tem, że Bóg jest i jest taki dobry, to dla tych biednych 20% trzeba ją głosić zawsze, bo może kiedykolwiek i oni to zrozumieją. Jeżeliby nawet wszyscy ludzie znali Pana Boga i kochali Go, jak przyjaciela najlepszego, jeszcze i wtedy należałoby o tem ciągle mówić i pisać, by ich w tem utwierdzić, by nie wkradła się do ich dusz żadna wątpliwość, by zawsze mieli to słońce nietylko w duszach własnych, ale i zzewnątrz świecące.

Niestety, niema jeszcze tak idealnego stanu, a kiedy będzie? Zresztą, ja nie patrzę „na same zgięte grzbiety i mizerne dusze", ale patrzę w słońce i o tem słońcu mówię i piszę dla wszystkich, by się w niem rozgrzali i sami rozsłonecznili. A „szary tłum przyjacół"? Prawda, że on szary, ale dlatego tylko, że zamknął okiennice na promienie tego słońca, które już od dawnego świtu do nich się dobijają.

Ja też się dobijam. „Otwórzcie bo już dzień, już samo południe, trzeba się cieszyć słońcem i radować jego ciepłem i blaskiem, wystawić nasze zbolałe kości i zmarszczoną skórę na ich działanie, by odmłodziły się, nabrały mocy i żyły i by wszy-

stko stało się młodem, silnem, jędrnem i radosnem aż do dna dusz"!

„Czy to prawdopodobne, żeby kto miał tylko jeden świadomy grzech?"—Odpowiem krótko: jeśli to jest faktem, to tembardziej jest to prawdopodobnem, bo jest już pewnem. Poco łamać sobie głowę, żeby uwierzyć w swoje grzechy i żałować za nie, jesli ich niema? Z tej racji wychodząc, człowiek powinienby jaknajwięcej grzeszyć, żeby mieć później materję do żału...

To absurd. Owszem, ktoś kiedyś napisał, że Pan Bóg tak skwapliwie i z taką radością odpuszcza grzechy ludziom, żałującym za nie, że zdawałoby się, że trzeba grzeszyć, żeby Panu Bogu tę „przyjemność" przebaczania zrobić. Ale, powtarzam, to jest absurd, świadczący tylko, jak wielką, nieograniczoną niczem ufność mieć powinniśmy w miłosierdzie Boże, jeżeli tylko mamy w duszy dobrą wolę, popartą możliwym dla nas wysiłkiem.

Odpowiedzialni jesteśmy tylko za grzechy świadome. Jeżeli więc kto nie ma świadomości grzechu, to niema i grzechu. — Niech się więc cieszy całą duszą i dziękuje dobremu Panu Bogu za to, bo to Jego łaska to sprawiła, a nie martwi się i nie szuka dziury w całem. A że to jest niebezpieczne dla pychy.— Być może — trzeba się jej strzedz i tutaj już znaleźć można podstawę do pokornego o sobie mniemania. Ale znowu ufać trzeba, że Pan Bóg łaską swoją umocni nas przeciw tym napaściom pychy.

A jeśli tylko chcemy żałować, to zawsze mamy za co Bogu dzięki, nie mamy grzechów świadomych, ale ile ułomności codziennych, ile może nierozważnych opuszczeń, niedosłyszeń szeptu bożego do duszy.? A zresztą, choćbyśmy stworzyli najcudniejszy mistrzowski obraz (nie my, ale łaska boża w nas) — to jeszcze tam możnaby zrobić niektóre pociągnięcia, czegośmy nie zrobili, opuścili — jeszcze to nie jest ostatni wyraz sztuki, bo poza Bogiem niema żadnego absolutu.

Jeżeli trudno nam żałować za siebie — żałujmy za innych. Zdaje się, że w tym wypadku nie zbraknie nam nigdy materjału.

Podstawiam więc tę „deskę ratunku" — proszę na nią siadać i płynąć spokojnie i prościutko do Pana Boga, śpiewając z całej duszy „Ave Maris Stella".

Są różne rodzaje doskonałości i apostolstwa. Jedni, w rozgwarze życia, zahukani, zapędzeni, chodzą, biegają, mówią, piszą, wznoszą wielkie dzieła — bo mają jeszcze ruszające się nogi, ręce, głos, talent, żyją z ludźmi — i wszędzie, jak mogą, budują czynnie królestwo Boże, aż się umęczą do ostatka i pójdą sobie trochę odpocząć u Pana Boga, a inni ich w ich bieganiu zastąpią.

Kto jest tak postawiony — winien to robić dopóki mu starczy sił i talentu.

Inni inaczej. Czy to, że życie pozostawiło ich w samotności, czy że nie mają odpowiednich warunków i otoczenia, są chromi, niewidomi, głusi, chorzy, na pustyni ludzkiej. Tych doskonałość i apostolstwo jest znowu innego rodzaju, ale zawsze dla nich dostępne — Pan Bóg od nikogo nie wymaga nigdy rzeczy niemożliwych.

Muszą oni być z natury rzeczy bardziej bierni, niż czynni. Muszą umieć cierpieć z uśmiechem i ten swój uśmiech złożyć na ołtarzu apostolstwa. Muszą umieć się modlić za wszystkich szczególnie za tych pierwszych, biegających, którzy w wirze pracy nie mogą znaleźć chwili na kontemplację i dłuższą modlitwę i za tych, którzy o modlitwie nie pamiętają wcale, a może zupełnie modlić się nie umieją.

Poza tem znajdzie się tysiąc sposobności każdego dnia, by dla swego otoczenia czynić dobrze, choćby dobrą myślą o niem, spojrzeniem jasnem i tym samym uśmiechem, pełnym miłości i wdzięczności. Można dokoła siebie, nie poruszając się z miejsca, wytworzyć taką atmosferę pogody i ciepła, że każdy, jak do słońca, będzie tam ciągnął, by się nacieszyć i umocnić.

Każde westchnienie, każda modlitwa, każda najmniejsza ofiara, w świetle tego najcudniejszego dogmatu o świętych obcowaniu, będzie czynem apostolskim, tak, że nie wiedząc nawet o tem, sprowadzać będziemy do dusz łaskę nawrócenia i pokoju, wspomagając czynnych pracowników bożych w ich dziełach codziennych.

By tak dążyć do doskonałości i tak apostołować nie potrzeba koniecznie, jeśli kto tego mieć nie może, ani długich rekolekcyj, ani innych bardzo cennych i pożytecznych dla duszy środków, które jednak są zawsze jedynie środkami, nie celem same w sobie. W braku ich Pan Bóg nas uczy i podtrzy-

muje na duchu i o wiele skuteczniej, tylko trzeba Go ciągle oburącz trzymać.

A przedewszystkiem trzeba umieć dziękować Bogu za wszystko i radować się z Nim ze wszystkiego. Jest to najwyższe uczczenie Boga, gdy, wierząc w Jego nieskończenie dobrą Opatrzność, przyjmujemy wszystko z Jego ręki z wdzięcznością i radością, czyniąc zawsze, co w naszej mocy jest dla spełnienia naszych obowiązków.

Ludzie zazwyczaj umieją tylko prosić Pana Boga, zdobędą się jeszcze na żal za winy swoje — i myślą, że to jest tylko modlitwą. Owszem, modlitwą jest — ale najniższego stopnia. Wyższą i prawdziwie Bogu godną modlitwą, jest dziękczynienie, uwielbienie i radość niezmienna duszy. W niebie będziemy tylko tak do Boga przemawiać.

Co ja mam, biedny, zrobić jeszcze z tą duszą, by się stała cherubinem i serafinem? Naprzód muszę ją skarcić, że „zdeptała wszystkie róże, a tuli ciernie". — Czy to róże są po to, żeby je deptać, a ciernie, żeby je całować i niepotrzebnie ranić sobie usta i może oko niem wykłuć?

Wszystko, co piękne, wonne, cudne — jest po to, żeby się niem cieszyć. Żyjemy z woli bożej po to, by się życiem cieszyć i radować i pójdziemy do Boga na wieczność całą też tylko w tym celu. Piękno i radość wszelką daje nam Pan Bóg w swej szczodrobliwości na to, byśmy się niemi cieszyli i uśmiechnęli się do Boga z wdzięcznością, że taki jest dla nas dobry. Cierpienie nie było nigdy w planach bożych, gdy nas do życia powołał. Ludzie je sami sprowadzili. Pan Bóg nie może się nigdy cieszyć, gdy widzi nasze twarze i serca w bólu skamieniałe — On szuka w nas radości i tę radość pełną dłonią nam do dusz sieje. Nie oddalać więc radości, nie deptać róż — bo to najpiękniejsze dary boże, ale, powtarzam, cieszyć się niemi, Bogu za nie dziękować i kochać Go za to jeszcze więcej.

A gdy przyjdzie cierpienie samo, przyjąć je również z wdzięcznością, wiedząc, że taka jest nasza nieszczęsna konieczność życiowa. Ale nie wyszukiwać go specjalnie. Ofiara nasza nietylko przez cierpienie jest miłą Bogu, ale przez radość i wdzięczność serca. Wszak i w Starym Zakonie nietylko były ofiary krwawe, całopalne, ale i ofiary z kadzidła i chlebów pokładnych.

A Chrystus tak nieskończenie udoskonalił ofiarę Nowego Zakonu, której imię jest Miłość, Wdzięczność, Uwielbienie i Radość.

Oto ucieleśnienie Cherubina i Serafina na ziemi. Kochać, uwielbiać, dziękować i radować się, radować całą duszą... Pan blisko jest! *Amicus.*

Z minionych dni.

Było, że duszę zalegały cienie
i jąk w pomroce stało moje mienie
darów żywota, znaczone protestem,
że żyć nie mogę, a muszę—bo jestem!

Och! Gdyby spłynąć w nicości głębinę,
lecz ginąc wiedzieć, że na wieki ginę!
Wówczas duch skrzydła bezszelestnie złoży,
ukojon wiedzą, że spoczynku dożył...

Gdyby... lecz w każdej myśli, co zagości
pragnieniem siebie oddania nicości,
zawsze głos jeden słyszę, dobrze znany:
— nie ujdziesz życia na falach nirwany.

Dusza znękana, jakby w proch rozbita,
Przez wielorakie przetrząsana sita,
aż się w ostatniem osieje z szelestem
ziarno żywota... żyć muszę — bo jestem!

Jest zakreślona granica niedoli...
Z takich odmętów duch mój się wyzwoli,
gdy Bóg wlał we mnie tchnienie miłościwe,
i znów uczułem serce w piersiach żywe...

Nie tak się wiosna zielonością pleni,
nie tak się słońce w dni lipcowe jarzy,
jłem ja ujrzał świetlistej przestrzeni
w miłości, jaką Pan Bóg ludzi darzy...

Jak mam Cię chwalić, miłosierny Boże,
I jaką złożyć mogę Ci podziękę?
Krwawiące serce ludzkie wziąłeś w rękę,
aż z ran obeschło i ścichło w pokorze...

Życie — dzień cały — niechaj każda chwila
aktem wdzięczności do stóp Twoich wzlata!
Dla wszystkich ludzi chcę mieć serce brata
a Ty — nas braci — miłością zasilaj!

Z. Cz.

BOHATEROWIE WIARY.

Ś-ty Jan z Matty.
Założyciel Zakonu O.O. Trynitarzy.

8 lutego.

Koniec wieku dwunastego, początek trzynastego. Po strasznym terrorze religijnym w okresie roku tysiącznego, po rozluźnieniu na wielu punktach życia religijnego i wewnętrznej karności kościelnej przed i jeszcze po tym przełomowym roku, po długoletnich walkach nieubłaganego w swej, logicznej zresztą, żelaznej akcji wielkiego mnicha z Cluny, ś-go Grzegorza VII-go, Kościół powraca do pokoju, umacnia się, dojdzie niezadługo do szczytu swej potęgi, jako mocarstwo i do wyżyn najwyższych i największych głębin swej nauki i świętości heroicznej w wieku trzynastym.

Świt tego złotego wieku kultury i wiary już zaróżowił brzegi firmamentu świata. Już żyje Franciszek Moriconi, przyszły „Biedaczyna z Assyżu", a w tym czasie jeszcze dorodny młodzieniec, żyje, nieco starszy od niego Dominik, żyją rodzice nieśmiertelnego Tomasza z Akwinu, Bonawentury, i Duns Scotta, niedługo przyjdzie na świat święty król francuski, Ludwik IX-ty, działa już przyszły wielki Papież, Innocenty III-ci. Gotuje się cały hufiec epokowych mężów, choć świat o nich jeszcze wie bardzo mało, albo jeszcze ich wogóle nie oglądał.

Zajaśnieje niezadługo niezatartym do dnia dzisiejszego blaskiem wiek XIII-ty, gdzie w zawody o pierwszeństwo szła prawdziwa świętość i bohaterstwo z najgłębszą, najściślejszą i najsubtelniejszą nauką, poświęcenie najwyższe, miłość Boga i ludzi „na zabój", ponad wszystko, równolegle ze zwykłem średniowiecznem barbarzyństwem i nieodłącznem od niego okrucieństwem.

Do całego szeregu „wielkich" tego wieku dołącza się w ciszy pustelni szlachetna postać Jana z Matty i jego bohaterskich towarzyszów z Feliksem Walerjanem na czele. Dzisiaj o Trynitarzach i ich duchowych ojcach czytamy tylko w dawnych kronikach. Dzisiaj są już nieaktualni, bo zmie-

niły się warunki współżycia cywilizowanych narodów, (choć, kto wie, czy na lepsze!)—ale wtedy byli oni heroicznym owocem chrystjanizmu, niosącym siebie samych w ofierze na wykupienie z kajdan niewoli pogańskiej jeńców chrześcijańskich.

Jan z Matty odbył swe studja w dawnych Aquae Sextae, później w Alma Matre Paryskiej. Został kapłanem, gdy już był dojrzałym duchowo do największego poświęcenia. Pan Bóg oddawna wybrał go do przyszłego dzieła, wielkością ofiary przewyższającego siły zwykłego człowieka, ale—nieskrępowany czasem—jako mądry i dobry pedagog, zaczekał z wyjawieniem swej woli aż do tego momentu rozwoju jego ducha, gdy już nic go zadziwić, ani powstrzymać nie mogło. W sposób mistyczny Jan uświadamia sobie swe powołanie.

Tysiące jeńców cierpi okropną niewolę w rękach niewiernych. Znamy opisy ich katuszy moralnych i fizycznych z opowiadań powieściowych. Ale, co znaczą wogóle wszelkie opisy wobec rzeczywistości! Ludzie współcześni zdawali sobie doskonale sprawę z przeżyć biednych skazańców. I im zawsze mógł grozić los podobny wobec niepewności granic i fanatyzmu hord barbarzyńskich. Ktoby z nich pomyślał kilkadziesiąt lat przedtem, że hordy te z Azji zawitają aż na kwitnący dzisiaj Śląsk i tam szerzyć będą pożogę, rabunek, brać w jassyr dziesiątki i tysiące Bogu ducha winnych niewiast i dzieci!

Trudny był na to ratunek. Musiały jeszcze przejść lata—aż do końca wieku XVII-go — żeby się załamała potęga wroga Chrystusa i kultury i żeby świat odetchnął od gniotącej go zmory... dopóki nie nadeszły inne, już „kulturalne", ale może, mimo to, stokroć gorsze. Trzeba było choć cokolwiek ulżyć niedoli nieszczęśliwym brańcom i brankom.

Nie miał się jednak kto tem zająć. Nie było żadnej organizacji, na własną rękę przedsiębrane indywidualne czyny były kroplą w morzu bezmiaru nieszczęścia.

Niewolników można było tylko wykupić za fantastyczne ceny, albo dać kogo wzamian. Pieniędzy nie było, lub raczej nie było hojnych ofiarodawców, a ktoby się zdecydował dobrowolnie na męki niewoli...?! zresztą nie zmieniłoby to sytuacji: liczba jeńców pozostałaby ta sama.

Znaleźli się jednak tacy bohaterzy i to dla ludzi zupełnie sobie nieznanych, nie dla ukochanych osób, dla których się wszystko poświęca... wiadomem było o nich tylko, że są ludźmi i że cierpią.

Znaleźli się i to cały ich legjon, obudzony mocą Ducha Bożego, pobudką z nieba daną, tak gromką i porywającą, że rzucili wszystko i poszli sami na ofiarny stos. Wodzem ich stał się Jan z Matty.

Ideą dzieła było zbieranie funduszy i wszelkich ofiar na wykupienie jeńców, budowanie szpitali i przytułków dla ulżenia ich losowi, przedzieranie się do nich, by im nieść pociechę duchową, a w razie braku środków, oddawanie się w niewolę za ich wolność i powrót do kraju.

Idea ta wyraźnie zarysowała się przed oczami Jana w pierwszym dniu jego kapłaństwa. Objęła całą jego duszę, nie znalazła żadnego oporu, jedną tylko odpowiedź: „rozkaz"! Bóg wiedział, że karnego w nim znajdzie bojownika.

Lecz dzieło przechodziło siły ludzkie. Musiało być przemyślane głęboko, a przedewszystkiem wymodlone na całe przyszłe wieki, uproszona łaska heroizmu dla tych, którzy przyjść mieli pod ten nowy sztandar, łaska roztropności i wytrwałego męstwa, bo nie na jeden bohaterski gest liczyć można było, ale na całe życie u szczytu poświęcenia i napięcia ducha. Miał powstać legjon bohaterów miłości.

Jan to rozumiał dobrze. To też po pierwszem uświadomieniu udaje się w góry, by tam w samotności rozmyślać nad przyszłem dziełem, modlitwą i postem zgromadzić skarbiec łask. Tam spotyka pierwszego towarzysza i najdzielniejszego swego współ-wodza, Feliksa Walezego, z którym przeżywa całą ideę. Potem już poszło wszystko zwykłym trybem. Zatwierdzenie najwyższej władzy kościelnej, rozpoczęcie i rozwój akcji, propaganda, jakbyśmy to dzisiaj powiedzieli, wśród możnych tego świata, zbieranie funduszów, mobilizowanie armji i... praca na froncie najcięższej niedoli ludzkiej.

Legjon się znalazł, rzucił się w wir walki i pracy, ginął, niknął w kajdanach niewoli, konał z uśmiechem radości na ołtarzu poświęcenia, wzmagał się znowu i wzrastał, słychać było tylko nieustanną trugiczną komendę: „Czuwaj"!... i szli nowi bohaterowie po krwawych śladach po swych przedników

porwani szałem poświęcenia—a gdziekolwiek się ukazali, jasność szła za nimi, jak od promieni słońca, pożółkłe oblicza ożywiały się nagle, zgaszony cierpieniem i rozpaczą wzrok zapalał się błyskiem nadziei, ręce okute wyciągały się do swych zbawców i padał na wszystkich jakby czar i ekstaza Chrystusowego miłosierdzia... Bohaterzy!

Tak, to byli bohaterzy Chrystusowi, prawdziwa Armja Zbawienia w najszerszem i najdosłowniejszem tego wyrazu znaczeniu.

Kto ich pojmie dzisiaj? A jednak była to rzecz z punktu widzenia psychologicznego i nadnaturalnego zupełnie zrozumiała i prosta. Trzeba tylko dojrzeć do tego stanu ducha, by wczuć się w tych bohaterów i... pójść za nimi.

Idea szalonej miłości Chrystusa dla ludzi, która zaprowadziła Go na Krzyż Kalwaryjski i kazała Mu oddać wszystko, nawet odzienie i ostatnią kroplę krwi; idea wieczności promiennej—nie tej mahometańskiej,—ale prawdziwie boskiej, czystej, przejasnej, słonecznej, skąpanej w ekstazie poznania i miłości Nieskończonej Prawdy i Dobra, ogarnięcie całej natury człowieka, żądnej i głodnej nieskończonego szczęścia, które tam dopiero, w blaskach wieczności okazuje się w całej pelni i ciągnie niepochamowaną mocą ku sobie, spojrzenie jednym rzutem wzroku duszy w tę nieskończoność i jasność bez miary, wobec czego wszystko na ziemi wydaje się tak znikomem, krótkiem, przemijającem i bladem... a w tym momencie jakby grom żywy z jasnego nieba: uderzenie łaski bożej, oszałamiające, olśniewające, porywające jak wicher i wyraźny, dobitny głos wśród tego szumu i kipiącej dokoła burzy duchowej: „idź!— tam czekają... nędzarze, męczennicy... idź!—patrz na mnie... na Golgotę... spójrz w niebo..!".

Co się w tej duszy podówczas dzieje? Przed nią otwarty szlak słońcem zalany, ginący, hen, aż w nieskończoności i dokoła szkielety ziemskie, błyskotki i liczmany bez wartości... i ona, na chwilę, na moment rzucona w ten pochód jakby masek karnawałowych—a tam ciągle to słońce jaśnieje i błyszczy i ciągnie ku sobie.

Ha!—co znaczy długie choćby na sto lat to ziemskie istnienie, co znaczą wygody i mamidła świata, co znaczy ona sama..? Jest pionkiem, jednym z wielu, niema dla niej różnicy,

czy jest na tronie książęcym, odbierając niskie pokłony i panując nad tłumem pochlebców, czy tam, w lochach niewoli, kajdanami okuta, smagana biczem nienawiści umierająca z chłodu i wycieńczenia—co to wszystko znaczy.

Pionkiem jestem... a tamci tak cierpią, a Chrystus tak ich ukochał, czekają na nich utęsknione serca dzieci, żon, mężów i matek. Pionkiem jestem. Zamieńmy pionki, jak na szachownicy! Ty idż tam do domowego ciepła, gdzie będziesz odtąd radością najbliższych, a ja stanę na twojem miejscu. Spotkamy się tam u Chrystusa, który nas obydwu ukochał. Idź i ciesz się i ciesz innych, ja cieszyć się będę twoją radością i dobrze mi będzie. Pionkiem jestem w ręku dobrego Boga, który też czeka na mnie, jak tam, w domu, twoi wszyscy na ciebie. I z nieziemskim uśmiechem na ustach podaje swe ręce na przyjęcie kajdan, bierzę taczkę w swe dłonie i pcha ją naprzód, śpiewając hymn radości, aż ją dociągnie do krańca żywota i początku wieczności.

Ludzie powiedzą: „oszalał!"—lecz nie,—to logika nagłębszych zasad i najdalszego spojrzenia, doprowadzająca do ostatnich konsekwencji życiowych. On się temu nie dziwi, bo dla niego jest to tak prostem i jasnem. Dziwią się ci, którzy zzewnątrz tylko patrzą, ale nie mogą wniknąć w głębie duszy i nie mogą wznieść się na najwyższy szczyt serca, którym jest: CHARITAS!

I dzisiaj są jeszcze tacy szaleńcy... bodajby ich był cały legjon!!! *T. P.*

Ks. Bronisław Bonawentura Markiewicz.

(Dokończenie.)

Wielki pedagog stulecia dziewiętnastego jak nazywają założyciela zgromadzeń salezjańskich, przybysza z Polski przyjął do nowicjatu swego dnia 1 stycznia 1886 r. Ks. Markiewicz był wogóle pierwszym Polakiem, który stanął pod sztandarem czcigodnego sługi Bożego, Jana Bosko, sprawił on wrażenie bardzo dodatnie, bo świętobliwy opiekun młodzieży ukochał go całem sercem, zaznajamiając go z ideą swoją bardzo drobiazgowo.

Kiedy wielki mistrz ks. Markiewicza przeniósł się tam, gdzie stał się orędownikiem przed tronem Pana Zastępów, uczeń jego powrócił do Polski. Powołany w 1892 r. na probostwo w Miejscu Piastowem, ukochane ideały wychowawcze założyciela zgromadzeń salezjańskich jął przeszczepiać na grunt polski. Pozbierawszy zewsząt ubogich chłopców, na plebanji miejscopiastowskiej utworzył pierwszy swój zakład dla biednej i opuszczonej młodzieży, który za skromnych zaczątków rozwinął się rychło przewspaniale.

Dewizą, jaką postawił przed oczy swym wychowankom, było hasło: „Powściągliwość i praca". Powściągliwy w życiu codziennem, szczepił te dwie cnoty w sercach przygarniętej dziatwy, żywiąc się tem, co ona, oraz pracując z nią wraz. Żeby natomiast rozszerzyć te idee na kraj cały, w 1895 r. począł wydawać miesięcznik „Powściągliwość i Praca", gdzie zamieszczał wiele niezwykle cennych artykułów, zawierających nierzadko prorocze przepowiednie na przyszłość.

Wogóle ks. Markiewicz często dość w chwili jakiegoś natchnienia mawiał o czasach przyszłych, szczególnie zaś ważnem jest proroctwo, o ile je można nazwać tak już dziś, z 1898 r. Wtedy to, dyktując prof. Bartłomiejowi Grochowi artykuł do redagowanego przez się czasopisma, tak się doń odezwał: „Będą oblegali Przemyśl i... Kraków, a koło nas (t. zn. koło Miejsca Piastowego) pójdą Moskale na Węgry". „Mówił wtedy także i o innych ważnych wypadkach przyszłości, na które się już dziś zanosi — powiada, wspominając te czasy, prof. Groch. — O końcu zaś tej wojny tak prorokował [4]): „Wszyscy przegrają, nawet ci, którzy zwyciężą, albowiem nawzajem się zniszczą. Padnie bardzo wiele ludzi od kul, wymrze jeszcze więcej z głodu i zarazy, a kaleki i sieroty będą zapełniały domy. Ale na pierwszej wojnie jeszcze się nie skończy nieszczęście ludzkie. Koniec jego nastąpi, aż narody uznają się za braci, aż wolność Polski zupełnie będzie zabezpieczoną". W czasie rozmowy tej nie wymienił ks. Markiewicz dokładnej daty owej wielkiej wojny, w parę jednak lat po tym facie w artykule p. t. „W przeddzień

[4]) Prof. Bartłomiej Groch, O. Br. Markiewicz, jako wieszcz i pionier odrodzenia narodu. (Miejsce Piastowe. Jednodniówka jubileuszowa Miejsce Piastowe, 1927 r. str 42).

wojny wszechświatowej", drukowanym w „Powściągliwości i Pracy" w № 8 z miesiąca sierpnia 1904 r., oznaczył ją na koniec panowania Ojca św. Piusa X.

W Miejscu Piastowem jakoteż od 1902 r. w Pawlikowicach, pod Krakowem, wychował natchniony prorok krocie sierot oraz niezamożnej dziatwy, kierując ich na dzielnych rolników czy rzemieślników, niektórzy wszakże pragnęli pozostać przy nim na całe życie dla kontynuowania jego zbożnej pracy. Gromadka miłośników wielkich ideałów świętobliwego kapłana stała się zaczątkiem zakonnego Towarzystwa św. Michała Archanioła. Pierwsze lata istnienia były dla tej instytucji niezwykle ciężkie, albowiem jak pisze Józef Stanisław Pietrzak, „tyle bo trudności temu dziełu Bożemu narobili ludzie przez jakieś dziwne niezrozumienie czy intrygę szatańską, że nowe to zgromadzenie, tak potrzebne i pożyteczne, nikomu nic nie winne, nikomu na drodze nie stojące, tak, jak i jego świętobliwy założyciel, co tylko miłością i miłosierdziem i prawdą i słusznością i sprawiedliwością się kierował w życiu, przecież wycierpiało udręk, szykan i prześladowań bez liku".

W ciężkich tych chwilach zapoznał się ks. Markiewicz ze świetlaną postacią czcigodnego sługi Bożego Stanisława od Jezusa i Marji Papczyńskiego, ukochał szczerze tego świętobliwego ziomka naszego oraz nosił się z zamiarem przyjęcia jego reguły zakonnej, wszakże w końcu ze względu na powstałe trudności zaniechał tego.

Ostatnie lata życia ks. Markiewicza były cierniową zaiste drogą, była to dlań Kalwarja, po której nadejść miało zmartwychwstanie na łonie Bożem. Pewna świętobliwa Polka, zmarła przed rokiem w Warszawie, częstokroć powtarzała nam w rozmowach, że nawet święci świętym czynili przykrości z dopustu Boskiego, nawet oni, ufni iż czynią dobrze mimowoli powodowali sobie nawzajem cierpienia, coś podobnego miało miejsce i w danym wypadku. Obawiając się, iżby przez tworzenie nowych zakonów nie rozdrobnić sił katolickich, znaleźli się ludzie którzy usiłowali przeszkodzić uznaniu dzieła zakonnego ks. Markiewicza przez władze duchowne, nie mając bynajmniej — powtarzamy—złośliwych intencyj, ale świętobliwy opiekun opuszczonych z Miejsca Piastowego bolał z tego powodu wielce. Przykrość następowała po przykrości, krzyż spadał po krzyżu

wszakoż trwał, wiary pełen, że po próbach Bóg zlituje się nad dziełem życia jego, nie upadał ani na moment, wierząc, że i wrogowie przyznają mu wreszcie rację.

Na krótko przed śmiercią skreślił artykuł p. t. „Uroczystość narodowa N. Marji P.. Królowej Korony Polskiej", jaki ukazał się drukiem w „Powściągliwości i Pracy" w Nr. 5 z miesiąca maja 1912 r. Utwór ten był właściwie, że się tak wyrazimy, łabędzim śpiewem ks. Markiewicza. Tu znowu zadźwięczała głośno nuta prorocza, czyniąc z rozprawki owej testament jakby jego dla współziomków. „Ogół polski sobą trwoży i pyta, co począć"—brzmią jego słowa stamtąd—„Wrogowie nasi, uzbrojeni od stóp do głowy, jak nigdy przedtem, grożą zupełną zagładą wszystkiego, co polskie. Najżyczliwsi nasi sprzymierzeńcy i przyjaciele, od nas odstąpiwszy, łączą się z wrogami. A my, bezbronni i podzieleni na trzy dzielnice, opasane zbrojnym kordonem. Ludzie małej wiary, czemu sobą trwożycie?... Zwycięstwo nie zależy ani od siły wojsk ani od mnogości walczących, ale od siły, którą przesyła Niebo... W górę serca, Polacy! Oto chwila ostatniej próby naszej, a oraz chwila straszliwego pohańbienia wrogów naszych. Oto teraz dokona się na nich straszliwa chłosta Boża, tak zwana w Piśmie św. chłosta w zupełności grzechów. Walczyć będą na ziemi i na morzu orężem niesłychanie morderczym, odniosą nawet zwycięstwa, ale zwycięstwa Pyrrhusowe. Miljardów nie zabiorą, albowiem, wszystko spustoszywszy, opanują gruzy i gromady ludu, łaknącego chleba. Wojna zatamuje handel, przemysł i rolnictwo. Głód i stosy trupów sprowadzą zarazy, które pożrą ich więcej, aniżeli żelazo i pociski pękające. Na dobitek tłumy pozostałe rzucą się na możnych i potężnych tego świata i zbroczą dłonie swoją krwią bratnią... Po kilku latach szału dzikiego reszta pozostałych oglądnie się i ujrzy ze zdumieniem naród polski, żyjący twardo, a w zgodzie bratniej i przyjaźni Bożej i zaczną nam zazdrościć stanu naszego... Wyciągną ku nam ręce i zawołają: Dajcie nam mistrzów a nauczcie nas, jak żyć szczęśliwie na ziemi, podobnie wam. I zasiędą stolce nauczycielskie mężowie z narodu naszego po różnych miejscach na świecie, my odzyskamy niezawisłość polityczną i zasłyniemy więcej, aniżeli kiedykolwiek przed laty". Po takich przepowiedniach ks. Markiewicz podał cały szereg

wskazań, lecz już nie dla Polski cierpiącej, jeno dla Polski odrodzonej, ważnych niezwykle dla nas, których świętym obowiązkiem jest świetną tę przyszłość przyodziać w szaty rzeczywistości. „Aby zaś to podniesienie nasze ze stanu upośledzenia wkrótce się ziściło, musimy bronić ustaw i praw Kościoła katolickiego i zachowywać je... Opierajmy się jedynie na prawie Bożem... Dalej obowiązkiem Polaków jest zabrać się pilnie do uczynków miłosierdzia chrześcijańskiego, gdyż wiara bez uczynków jest martwa... Szczególnie czyńcie uczynki miłosierdzia co do duszy, starajcie się o kościoły, kaplice, o nauczanie zasad wiary katolickiej, o piękne nabożeństwa w kościołach, o uszanowanie rzeczy i osób, Bogu poświęconych, o szkoły prawdziwie katolickie, o pisma i książki pożyteczne, a przedewszystkiem o to, aby między nami nie było nędzarzy żebrzących i dzieci opuszczonych! Wznoście przytuliska i liczne zakłady dla dziatwy opuszczonej i wspierajcie należycie już istniejące! Lud tej samej krwi jest pierwszy, ale obowiązkiem jest pamiętać o narodach, które dotąd żyją w błędzie, a zwłaszcza o narodach ościennych. Wspierać tedy pieniędzmi i krwią misjonarzy, katolickich kapłanów ducha apostolskiego. Na polu duchowem prowadźmy wojnę z naszymi wrogami, nie żałując zdrowia i krwi najlepszych synów i córek Polski, nie szczędząc mienia. Północ i Wschód aż do brzegów oceanu Spokojnego powinien ulegać zbawiennemu wpływowi cywilizacji naszej. Podboje duchowe są posłannictwem naszem, a nie zabory krajów, wynaradawianie ludów i rozlewy krwi... Ekonomiści..., nie opierający się na zasadach Ewangelji, są ślepymi przewodnikami ślepych, sami staczają się w przepaść razem z wiedzionymi. Przewrót socjalny i bankructwo powszechne wykażą najlepiej zgubność ich nauki. Kto trzeźwo patrzy, już dzisiaj widzi. My, Polacy, musimy wziąć zasady naszej ekonomji politycznej z Ewangelji stosownie do tradycji, przekazanej nam przez wielkich przodków, którzy stawiali kościoły, budowali domy misyjne, szpitale, modlili się razem z ludem i t. d... Moralne powstanie jest podstawą i zadatkiem podniesienia się materjalnego i politycznego. Słowa Chrystusowe: „Szukajcie Królestwa Bożego przedewszystkiem, a reszta wam będzie przydana” są pierwszą zasadą ekonomji naszej politycznej. Należy budować

na skale, a nie na piasku. Stańmy wszyscy, jak jeden mąż..., z ludem naszym głęboko religijnym przy sztandarze Marji, Królowej Polski!... Za Jej pomocą znowu zajmiemy stanowisko, przeznaczone nam przez Opatrzność i pozostaniemy przedmurzem chrześcijaństwa. Pod Jej wodzą ruszymy bryłę świata. Mężowie nauki, mistrze sztuki polskiej, sławcie dziełami waszemi potęgę i dobroć Marji, Królowej naszej! O, ileż kart w historji naszej dostarczy nam wątku do utworów na cześć tej Pani i Matki naszej! Wstąpcie wszyscy do bractwa Królowej Korony Polskiej! Dzień 3-go maja poświęcony czci N. Marji Panny, Królowej Korony Polskiej, jako pamiątka ślubów Jana Kazimierza, niech stanie się największą uroczystością narodową. Jest ścisłym obowiązkiem naszym, pod utratą posłannictwa, przeznaczonego nam przez Opatrzność, ślub Marji obiecany dopełnić, on był bowiem uczyniony w imieniu całego narodu naszego. Kto tedy z nami nie stanie tego dnia przy niej, jest w pewnem znaczeniu buntownikiem Jej królestwa i znieważa Jej majestat monarszy. Od was, kapłani polscy, głównie zależy, aby naród polski był rzeczywiście narodem Marji, a Ona jego Królową".

Z końcem 1911 r. zapadł ks. Markiewicz bardzo ciężko na zdrowiu. Leżąc na łożu boleści, cierpiał bez skargi, nie skarżył się na bóle cielesne ni bóle gorsze, bo moralne, zadane nieświadomie przez przeciwników jego. Nawet w czasie choroby nie przestawał się modlić, nie przestawał wierzyć, że dobra idea jego zwycięży. W ufności Swojej nie doznał zawodu, Episkopat polski bowiem przyrzekł na wieść o groźnym stanie jego zaopiekować się dziełem jego życia. Gdy doniesiono o tem choremu, przejęty do głębi, wyszeptał: „Deo gratias". Dnia 29 stycznia 1912 r. czyli w uroczystość kościelną św. Franciszka Salezego, którego, jako uczeń czcigodnego sługi Bożego Jana Bosko, czcił z całej duszy oraz kochał ogromnie, nadeszły ostatnie chwile jego życia. Nad ranem jeszcze na prośbę jego jeden z pierwszych duchownych synów udzielił mu Wijatyku, tak zaś przygotowany na drogę do wieczności, przez cały dzień udzielał zakonnej gromadce swej ostatnich już rad i pouczeń. Wieczorem z Imieniem Jezus na ustach zasnął cicho, a dusza jego, tylekroć krzyżowana na tym padole płaczu, uleciała ku Ojcu Przedwiecznemu, by wziąć nagrodę wiekuistą.

J. M. Chudek.

Siedem Franciszkanek Misjonarek Marji, umęczonych za wiarę św. w 1900 roku w Chinach.

Istniejące od lat piędziesięciu paru zgromadzenie sióstr Franciszkanek Misjonarek Marji wydało już dziewięć kandydatek do beatyfikacji, wśród których jest siedem męczenniczek za wiarę św. Temi ostatniemi są zakonnice, które zginęły dnia 9 lipca 1900 r. w Tai-Uien-Fou, w Chansi, w Chinach. Chwalebne męczeństwo ich za Chrystusa miało miejsce podczas powstania bokserów, śmierć zaś wtedy poniosły: matka Marja Herminja od Jezusa (w świecie Irma Gcivot), Francuska, Marja od Pokoju (w świecie Marjanna Giuliani), Włoszka, Marja Chiara (w świecie Klelja Nanetti), Włoszka, Marja od św. Natalji (w świecie Joanna Marja Kerguin), Francuska, Marja od św. Justyna (w świecie Anna Moreau), Francuska, Marja Adolfina (w świecie Marja Dierkx), Holenderka, i Marja Amandyna (w świecie Paulina Jeuris), Belgijka.

Życie tych sióstr Franciszkanek, Misjonarek Marji było niezwykle świętobliwe i uduchownione. Zwierciadłem ich przeżyć wewnętrznych są do pewnego stopnia ich listy. Z korespondencji można badać przeżycia duchowe tych pobożnych zakonnic, jednak pozna się je w nikłej zaledwie cząsteczce. Tak np. matka Marja Herminja była osobliwą czcicielką Eucharystji, co zresztą cechuje wszystkie Franciszkanki Misjonarki Marji. Ona to wyznawała w liście: „Cześć Przenajświętszego Sakramentu jest połową mego życia, druga zaś połowa polega na uczczeniu miłości Jezusa oraz na zdobywaniu dla niego dusz". Matka Marja od Pokoju znowu pisała: „Odkryłam tajemnicę szczęścia, odkąd szukam jeno woli Bożej", a siostra Marja od św. Natalji powiada w korespondencji: „Gdyby mi Pan Bóg nie zsyłał cierpień, myślałabym, iż mnie już nie kocha". Wynurzenia te i tym podobne świadczą o heroiżmie cnót tych siedmiu sióstr zakonnych, koroną zasię tego świętobliwego żywota ich było męczeństwo za wiarę św. Nie lękały się go one bynajmniej, bo było to ich największem pragnieniem. Odnośnie do tego także znaleść można wyznania w listach. „Proszę Boga, by umacniał męczenników, ale go nie proszę, aby ich zachował" — wyznaje

siostra Marja Amandyna, a kiedy biskup, pod władzą którego pozostawały siostry Franciszkanki Misjonarki Marji z Tai-Uien-Fou, polecił im szukać schronienia przed prześladowaniem ze strony bokserów, matka Marja Herminja imieniem wszystkich jako przełożona, odpisała: „Ekscelencjo! Na miłość Boską nie broń nam umrzeć wraz z Tobą. Jeśli odwaga nasza jest zasłaba, by stawić opór okrucieństwom katów, wierz, że Bóg, który nam zsyła tę próbę, da nam również moc wyjścia z niej zwycięsko! Nie lękamy się ni śmierci ni mąk, jakiemi grozi nam gniew wicekróla. Przybyłyśmy tutaj, żeby świadczyć miłosierdzie, i przelać, jeśli zajdzie tego potrzeba, krew naszą, dla miłości Jezusa Chrystusa, to też zaklinamy Cię ze łzami w oczach byś nie wyrywał nam palmy, którą łaskawość Boża wyciąga ku nam z wysokiego nieba". Gorącemu życzeniu świętobliwych zakonnic stało się zadość, Zbawca, Król męczenników, pozwolił im zginąć śmiercią męczeńską, w nagrodę za co włożył im, jak powiada Mszał Rzymski, „na głowę wieniec z kamienia drogiego", koronę chwały męczenniczek.

Obecnie proces beatyfikacyjny tych siedmiu Franciszkanek Misjonarek Marji jest w pełnym biegu, wszakże potrzebne są jeszcze nowe łaski i cuda za ich przyczyną. Gdyby ktoś doznał takiego dobrodziejstwa, powinien zawiadomić o tem współsiostry zakonne służebnic Bożych (Roma, via Giusti 12 lub Łabunie, poczta Zamość), u których nabywać też można obrazki dwukartkowe z modlitewką o łaski.

J. M. Chudek.

SPOŁECZEŃSTWO I WYCHOWANIE.

Pojedynek i walka z nim.

I.

Pojedynek w znaczeniu walki orężnej dwóch osób z sobą jest obyczajem jak świat starym, jeszcze bowiem Goljat „wyzywał na pojedynek żołnierzy Saulowych, aby się z nim sam na sam który spotkał".*) W tem znaczeniu każdą walkę samowtór możnaby nazwać pojedynkiem. Jako sposób rozstrzy-

*) Piotr Skarga.

gania waśni i zatargów nawet zbiorowych, walki pojedynkowe (Duellum, monomachja) były częstem zjawiskiem zarówno w czasach starożytnych, jak i średniowieczu. W „Iljadzie" znajdujemy cały szereg opisów takich walk pojedynkowych (pojedynek Parysa z Menelajem, Hektora z Ajaksem, Achillesa z Eneaszem, Achillesa z Hektorem i t. d.)

Rozpowszechnione w wiekach średnich Sądy Boże, czyli t. zw. Ordalje *) w liczbie prób, podejmowanych celem wykazania czyjejś słuszności, lub niewinności, uwzględniały również pojedynkowe walki orężne. Były to t. zw. pojedynki sądowe, Wiodące spór strony wstępowały wówczas w szranki i w obecności licznie zgromadzonych widzów toczyły pomiędzy sobą walkę, której wynik decydował o wygraniu sprawy w procesie cywilnym, bądź też o zastosowaniu kary w razie oskarżenia o zbrodnię. Jeżeli stroną w procesie była kobieta, dziecko lub duchowny, wolno było wówczas zastąpić się w pojedynku przez wybranego w tym celu rycerza. Podobnie, jak inne próby (purgationes, iudicia), pojedynki Sądowe były oparte na wierze, że Opatrzność nie pozwoli na pognębienie niewinnego i przez zwycięstwo jednej lub drugiej strony objawi prawdę, wykaże czyjeś prawo, stwierdzi niewinność lub zbrodnię.

Razem z ordaljami pojedynki Sądowe zanikły z początkiem 16-go wieku.

Pozostały natomiast w użyciu pojedynki w ścisłem znaczeniu, t. j. walki, toczone na zasadzie uprzedniego porozumienia się stron co do miejsca walki, rodzaju broni i innych warunków, a mające na celu obronę honoru, zmazanie doznanej zniewagi przez rozprawę orężną.

Pochodzenie pojedynku, jako rozprawy honorowej, wiąże się niewątpliwie z istnieniem stanu rycerskiego i z pojęciem t. zw. czci rycerskiej. Rycerz, którego cześć została zadraśnięta, wyzywał obrażającego do walki. Urządzane często w średniowieczu igrzyska rycerskie, t. zw. turnieje, które odbywały się według przepisanych z góry warunków, dawały gotową formę dla tego rodzaju rozpraw honorowych. Mając

---

*) Wyraz pochodzący od staro-germańskich wyrazów Urtheil, Oordeel (anglosaskie Ordal).

**) Stąd określenie: Duellum-vindex honoris.

na celu pomszczenie doznanej zniewagi, rozprawy te z reguły miały charakter morderczy. Brali w nich udział częstokroć nie tylko powaśnieni, ale ich sekundanci, i pojedynek trzech przeciwko trzem, lub nawet sześciu przeciwko sześciu nie należy do rzadkości. Niebawem pojedynek, jako sposób rozstrzygania spraw honorowych, ulega coraz większemu rozpowszechnieniu i staje się zwyczajem. Dzielny a lekkomyślny stan rycerski, zaprawiony w rzemiośle wojennem, reaguje na każdą zaczepkę, a niekiedy sam ją prowokuje.

Pojedynki wynikają z najbłahszych powodów. O byle drobnostkę ludzie się pojedynkują i zabijają. Coraz większa ilość pojedynków i spowodowanych przez nie zajść śmiertelnych sprawia wreszcie, że zarówno Kościół, jak i władza świecka zmuszone są wystąpić do walki z pojedynkiem. Już w roku 855 potępia pojedynki synod Vienneński (Concilium Viennense seu Velentinum) we Francji. Potępiają również pojedynki papieże Mikołaj I, Celestyn II, Innocenty II, Eugenjusz III, i Aleksander III, na III Soborze Laterańskim.

Sobór Trydencki (1546 — 1563) ustanawia następujące kary za pojedynek: 1) infamję i utratę majątku, 2) pozbawienie pogrzebu tego kto ginie w pojedynku, 3) klątwę większą, w którą wpadają, choćby pojedynek nie nastąpił: wyzywający się, świadkowie doradcy lub sprzyjający pojedynkowi, a nawet ci, którzy umyślnie mu się przypatrują i przez to pobudzają strony do walki.

Jednocześnie królowie francuscy, począwszy od Karola IX. w r. 1566, wydają cały szereg aktów ustawodawczych, mających na celu zwalczanie pojedynków*). Uważając pojedynek za jedną z klęsk społecznych, królowie francuscy starają się przeciwdziałać tej klęsce przez zakwalifikowanie pojedynku, jako zbrodni obrazy majestatu (crimen laesae majestatis) i grożą karą śmierci, połączoną z konfiskatą majątku nie tylko samym stronom, ale i sekundantom, bez względu na rezultat pojedynku. Podobne akty prawne istnieją i w innych kracjh, nie są one jednak w stanie wytępić pojedynku, jako

*) Karol IX—ordonans z r. 1566; Henryk III — ordonans z r. 1579; Henryk IV – edykty z r. 1602, 1606 i 1609; Ludwik XIII — deklaracje i edykty z r. 1614, 1613, 1617, 1623, 1626, 1634, Ludwik XIV deklaracje i edykty z r. 1643, 1646, 1651, 1653, 1679, 1704; Ludwik XV. z r. 1723.

zakorzenionego już sposobu rozstrzygania spraw honorowych, który sam staje się nieledwie prawem, przez zwyczaj ustanowionem (jus moribus constitutum). Przyczyna tej bezskuteczności aktów prawodawczych, skierowanych przeciwko pojedynkom, tkwi w tem, że w umyśle samych władz, ustanawiających te przepisy, oraz powołanych do ich stosowania, zbyt silnie tkwi przekonanie o pojedynku, jako o koniecznem następstwie zniewagi i jedynym środku rehabilitacji pomiędzy „dobrze urodzonemi".

To też, zdając sobie sprawę ze szkodliwości pojedynku i z obowiązku zwalczania go groźbą najbardziej surowych kar, władze miękną z zetknięciem się z wypadkami konkretnemi, którym zawsze towarzyszą takie lub inne okoliczności usprawiedliwiające. Stąd pochodzi nieprawdopodobna wprost ilość wydawanych np. we Francji „lettres de grace" i „lettres d'abo lition", które rzecz prosta, w niwecz obracały znaczenie surowych przepisów prawa, z taką łatwością przy każdej okazji uchylanych.

Ta rozbieżność pomiędzy poglądem na pojedynek, jako na zjawisko w wysokim stopniu szkodliwe i wymagające surowej sankcji prawnej, a łagodnym stosunkiem do niego ze strony organów sądowych, powołanych do wymierzania kar na podstawie istniejących przepisów prawnych, istnieje do dnia dzisiejszego.

Ustawodawstwa współczesne traktują pojedynek bądź jako naruszenie bezpieczeństwa i porządku publicznego (prawo angielskie), bądź jako pominięcie państwowego wymiaru sprawiedliwości i użycie niedozwolonej samoobrony (kodeks włoski), bądź jako działanie, skierowane przeciwko bezpieczeństwu życia jednostki (kodeks ros. z r. 1903, ustawa karna niem. z r. 1871 i ustawa karna austryjacka z r. 1852).

We wszystkich tych jednak wypadkach, podobnie jak i wtedy, gdy prawo milczy o pojedynku i sądy zmuszone są stosować do niego ogólne przepisy o morderstwie, względnie uszkodzeniu ciała, praktyka sądowa idzie w kierunku możliwie łagodnego wymiaru kary, a sądy przysięgłych tam gdzie one istnieją (np. we Francji), wręcz uniewinniają zabójców, lub sprawców ciężkich uszkodzeń ciała w pojedynkach. W ten sposób prawo po dawnemu pozostaje bezsilne w stosunku do pojedyn-

ków, gdyż nawet wtedy, gdy jest ono dostatecznie surowe, aby mogło skutecznie wpływać na społeczeństwo, łagodzi je i przez to unicestwia jego znaczenie praktyka sądowa oraz rozpowszechniony wśród sędziów pogląd, że są sprawy honorowe, których inaczej, niż za pomocą pojedynku, załatwić nie można.

II.

Gdy mowa jest o pojedynku, jako ustalonym przez zwyczaj sposobie rozstrzygania spraw honorowych, drogą walki orężnej, należy sobie zdać sprawę z tych przeobrażeń, jakie z biegiem czasu zaszły w pojęciach ludzi co do czci samej oraz sposobów jej obrony.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że sam pojedynek i możność jego stosowania nie są w umysłach społecznych takie same, jakiemi były one przed laty dwudziestu lub trzydziestu. Nikt nie pojedynkuje się dzisiaj dla przyjemności, albo sportu, nikt również nie szuka zwady dla pozyskania okazji stanięcia na placu i wypróbowania swej sztuki szermierskiej lub umiejętności strzelania. Jeżeli tu i owdzie, wśród wojskowych lub akademików znajdzie się bursz, poszukujący przygód i chlubiący się następnie liczbą odbytych pojedynków, to w pojęciu przeważającej części społeczeństwa nie znajdzie on uznania ani dla swej odwagi, ani dla swoich czynów: zdobędzie on raczej wątpliwej wartości opinję hulaki, awanturnika, zawadyjaki, która w niczem laurów mu nie przysporzy.

Jest to zresztą naturalnem następstwem zmierzchu rzemiosła i życia rycerskiego, ześwieczczenia społeczeństwa, jednocześnie i jego ucywilizowania się.

Społeczeństwa dzisiejsze wymagają innych dowodów odwagi i dzielności, niż pojedynki, które zawsze pachną awanturą i pozostawiają po sobie posmak zły... przynajmniej dla jednej ze stron, biorących udział w zatargu.

Pomimo jednak stopniowego zanikania pojedynków, jako walk orężnych wywoływanych dla zaspokojenia bądź zbyt gorącego temperamentu, bądź wypróbowania dzielności i sztuki walczenia, pojedynki nie przestają pozostawać w bardzo szerokim użyciu, jako sposób rozstrzygania spraw honorowych i zacierania ujmy, wyrządzonej honorowi danej jednostki przez inną jednostkę.

Zmusza to nas do zastanowienia się nad istotą t. zw. honoru i wyrządzonych honorowi uchybień oraz nad temi przyczynami, które powodują, że ludzie, czujący się dotknięci w swym honorze szukają zadośćuczynienia, mogącego przywrócić ich honorowość.

Wskutek upadku stanu rycerskiego i szlacheckiego pojęcia czci osobistej i honoru zostały przesunięte na nieco inną płaszczyznę, nie stały się jednak przez to mniej odczuwane, niż były dawniej: przeciwnie treść ich stała się bogatsza, zakresem zaś swoim objęły one wszystkie stany, wszystkich ludzi, stojących mniej więcej na równym poziomie towarzyskim.

Gdy w wiekach ubiegłych każda zaczepka mogła wydawać się wyrządzeniem zniewagi zaczepionemu, który ceniąc swój honor rycerski lub klejnot szlachecki, odpowiedział na wymierzoną przeciwko niemu zaczepkę wyzwaniem, dziś to poczucie własnej czci i godności, resp. honoru, opiera się na innych podstawach.

Wyrządzenie ujmy honorowi w czasach dzisiejszych polega na słowach, lub czynach, obniżających stanowisko danej jednostki w społeczeństwie i zmniejszających należną jednostce dozę poszanowania dla niej ze strony społeczeństwa.

Prawo do tego poszanowania ma każdy, kto przez postępowanie swoje nie wywołał ujemnego stosunku do niego ze strony społeczeństwa.

Im wyżej stoi grupa społeczna do której należy dana jednostka, tem w zasadzie subtelniejsze powinno być poczucie własnej godności osobistej, której odpowiadać winno należyte ustosunkowanie się społeczeństwa do jednostki.

Z drugiej strony na wysubtelnienie tego odczuwania godności osobistej, będącej treścią pojęcia honoru w znaczeniu dzisiejszem, wpływać może w dużym stopniu należenie do tego, lub innego ugrupowania społecznego (np. wojskowi), które od członków swoich wymaga utrzymania się na pewnym poziomie opinji o nich i przestrzegania, aby ich honor przez cudze słowa lub czyny nie był obniżany, a przez to nie wpływał na pogorszenie się tej opinji.

Z chwilą więc wyrządzenia ujmy czyjemuś honorowi, dotknięta zniewagą jednostka nie może przechodzić nad nią do porządku dziennego, pomijając bowiem pierwiastek **ściśle** pod-

miotowy, jakim jest obrażone poczucie miłości własnej i godności osobistej, w sytuacji społecznej znieważonego zachodzą okoliczności objektywne, które mogą wpłynąć na istniejącą o danej jednostce opinję społeczeństwa i zmienić ją na niekorzyść jednostki.

Stąd wypływa naturalny zupełnie wniosek, że dotknięta zniewagą jednostka, musi „reagować“, musi szukać środków, mogących przekonać grupę społeczną, do której należy, że nie pozwala bezkarnie na poniewieranie własnej godności i obniżania istniejącej opinji o niej, a przez to samo jest w dalszym ciągu godną szacunku, jaki się jej dotychczas należał ze strony społeczeństwa.

W związku z tem nasuwa się pytanie, czy pojedynek, jako sposób naprawienia ujmy, wyrządzonej czyjemuś honorowi, jest środkiem dopuszczalnym, celowym i dającym się usprawiedliwić objektywnemi warunkami.

III.

O dopuszczalności pojedynku dla wierzącego katolika decyduje stanowisko Kościoła Katolickiego. Stanowisko to jest zasadniczo ujęte w dwóch wyrazach, stanowiących treść 5-go przykazania: „Nie zabijaj“.

W myśl 5-go przykazania nie do pomyślenia jest dopuszczalność umowy, która przewidywałaby możność pozbawienia w walce życia swojego przeciwnika, a taką umową jest pojedynek.

W encyklice „Pastoralis officii", wydanej w dniu 12 września 1891 roku, a poświęconej pojedynkom, Papież Leon XIII, podkreślając rozpowszechnienie się pojedynku na całym świecie, słusznie stwierdza, że pojedynek godzi w prawo boże naturalne i pozytywne, zabraniające w sposób formalny, aby katolik poza potrzebą publicznej obrony, zabijał lub ranił bliźniego, nie będąc do tego zmuszony koniecznością obrony własnego zagrożonego przez napastnika życia.

To samo prawo boże zabrania narażania życia na niebezpieczeństwo poważne i oczywiste, jeżeli niema do tego żadnego motywu, płynącego bądź z poczucia obowiązku, bądź z poświęcenia.

Tymczasem z tego rodzaju sytucją mamy właśnie do czynienia przy pojedynku, w którym każda ze stron jednocześnie

godzi na życie swojego przeciwnika i naraża bez słusznego motywu swoje własne.

To też Kościół Katolicki, od najdawniejszych czasów zajął w stosunku do pojedynków stanowisko zdycydowanie wrogie, potępiając je i zakazując ich.

Wyżej zostały już przytoczone imiona papieży, którzy występowali przeciwko pojedynkom jeszcze przed Soborem Trydenckim oraz postanowienia tegoż Soboru, przewidujące infamję, ekskomunikę i pozbawienie pogrzebu kościelnego, jako kary na uczestników pojedynków. Postanowienia te zostały rozszerzone i wyjaśnione w Konstytucji „Detestabilem", wydanej w dn. 10 listopada 1752 r. przez papieża Benedykty XIV, a następnie potwierdzonej przez papieża Piusa IX w encyklice „Apostolicae Sedis", w której Pius IX, ograniczając cenzury kościelne „Latae sententiae", oświadcza otwarcie, że karom kościelnym za pojedynek ulegają nie tylko sami pojedynkujący się, ale również ich sekundanci, świadkowie i nawet ci, z których wiadomością pojedynek się odbywa.

Przytoczone wyżej postanowienia karne za udział w pojedynku weszły w całości do nowego Kodeksu Prawa Kanonicznego, wydanego w roku 1917. Zgodnie z Kanonem 1240 p. 4. K. Pr. Kan., pozbawieni są prawa do pogrzebu kościelnego zabici w pojedynku, lub zmarli z ran w pojedynku odniesionych, chybaby przed śmiercią dali dowody skruchy. Kanon 2351. § 2 nakłada na strony, biorące udział w pojedynku oraz ich sekundantów infamję. Wreszcie tenże Kanon 2351 § 1. postanawia, że ci, którzy się pojedynkują, jak również ci, co wyzwanie przyjmują, dalej okazujący jakiekolwiek poparcie, lub przychylność sprawie pojedynku, rozmyślnie się mu przypatrujący, zezwalający nań lub nie wzbraniający go w miarę możności, jakiejkolwiek byliby godności, ulegają ipso facto ekskomunice, zastrzeżonej w zwykły sposób Stolicy Apostol-

W ten sposób Kościół za pomocą surowych kar stara się zapobiec pojedynkom, grożąc ekskomuniką nawet tym, którzy braliby w nim udział pomocniczy, lekarzom, księżom, a nawet widzom pragnącym z ciekawości asysować przy pojedynku.

Stanowisko Kościoła jest w kwestji pojedynków, tak jasne, że żadnego komentarza nie wymaga. Niestety, przez naszych

katolików, którzy w większości wypadków są katolikami tylko z imienia, jest ono najczęściej lekceważone i pomijane.

Pomijając wypadki rzeczywistej, a bynajmniej nie rzadkiej nieznajomości zasad wiary chrześcijańskiej), rozumowanie przeciętnego obywatela jest następujące: „Wprawdzie pojedynki są rzeczą zdrożną, ale wobec faktu zniewagi innego wyjścia niema". Rozumowanie to zresztą w niczem nie odbiega od rozumowania sędziów i prokuratorów, którzy będąc obowiązani do stosowania przepisów ustanawiających kary za udział w pojedynku, starają się łagodzić w miarę możności wymiar sprawiedliwości z uwagi na charakter pojedynku, jako rozprawy honorowej.

I oto stajemy wobec zjawiska zaiste osobliwego. Wiadomo jest powszeechnie, że zarówno Kościół, jak i Państwo zabraniają pojedynków i przewidują surowe kary za nie. Jednocześnie uznaje się ogólnie, że pojedynki są przeżytkiem, który bynajmniej nie przynosi zaszczytu ludzkości, chlubiącej się i słusznie zresztą, tem, że osiągnęła pewien stopień cywilizacji. Mimo to gdy zdarzy się sprawa honorowa z rozwiązaniem w postaci pojedynku, większość ludzi powiada, że pojedynek w pewnych wypadkach jest koniecznością, która uchylić się nie daje. Na zapytanie co jest powodem takiego stanowiska, otrzymujemy w najlepszym wypadku odpowiedź, że są plamy na honorze, względnie zniewagi, które się daje zmyć tylko krwią.

W ten sposób rzekomo cywilizowany obywatel powraca do początków cywilizacji, stając na stanowisku rozprawy krwawej, sprzecznej z prawem i porządkiem społecznym, według którego zasad, jest rzeczą niedopuszczalną, aby ktokolwiek sam sobie wymierzał sprawiedliwość.

Gdyby nawet stanięcie do pojedynku uważać, jak chcą niektórzy, za stwierdzenie przez danego osobnika gotowości przelania krwi w imię własnego honoru, a przez to dostarczenie społeczeństwu, czy danej grupie społecznej dowodu, jak wysoko ceni swój honor i że ma prawo korzystania z szacunku, z którego korzystał dotychczas, to i wówczas trudno byłoby znaleźć uzasadnienie dla pojedynku inne, jak tylko to, że jest to potworny barbarzyński przyżytek, który przynosi hańbę ludzkości przy dzisiejszym stopniu jej rozwoju cywilizacyjnego.

Mniemanie, jakoby tylko krwią można było zmyć plamę na honorze, jeżeli nawet i obecnie jest dość rozpowszechnione, jest wykroczeniem nie tylko przeciwko prawu i przepisom Kościoła – jest ono ciężkim grzechem wobec cywilizacji, zejściem o stopień niżej z poziomu życia dzisiejszego, otwarciem drogi barbarzyństwu i sponiewieraniem najświętszego prawa, którego bez względu na odniesioną zniewagę żadnemu cywilizowanemu człowiekowi przekroczyć nie wolno — prawa poszanowania dla życia własnego i cudzego.

IV.

Samo potępienie pojedynku nie wyczerpuje jednak kwestji. Zgodnie z tem co było mówione wyżej, sprawy honorowe należą do rzędu spraw szczególnie drażliwych i dotkliwych. Niepodobna jest czynić komuś zarzutu z tego powodu, że dba o swój honor i o swe miejsce w społeczeństwie. Poczucie własnej godności i czci jest potężną dźwignią życia społecznego.

Byłoby rzeczą smutną i dla życia społecznego niepożądaną, gdyby ono zanikało.

I oto wysuwa się kwestja: jeżeli potępiamy pojedynek, to jakich środków radzimy użyć znieważonemu, aby mógł uchronić swój honor, swoją cześć od zmazy.

Zaznaczyć tu należy, że pojedynek nie jest jedyną formą rozstrzygania zatargów honorowych. Będące u nas w użyciu kodeksy honorowe Boziewicza oraz Zamojskiego i Krzemienieckiego ograniczają zastosowanie pojedynku jedynie do wypadków obrazy trzeciego stopnia, polegającej na znieważeniu przez uderzenie, lub hańbiące posądzenie, zdolne skrzywdzić cześć i honor, lub na obrazie narodu, rodziny i kobiety.

W wypadku zniewagi o znaczeniu pomniejszem zatarg honorowy może być zlikwidowany przez udzielenie zadośćuczynienia w takiej, lub innej formie na mocy bądź porozumienia sekundantów, bądź też orzeczenia sądu honorowego.

Powstaje zapytanie, jak w wypadku zniewagi ciężkiej ma postąpić człowiek, który zgodnie ze swemi przekonaniami nie uznaje pojedynku, jako sposobu roztrzygnięcia zatargów honorowych. Czy ma również żądać zwołania Sądu honorowego. A jeśli sąd honorowy uzna, że satysfakcja winna być udzielona właśnie w formie pojedynku? Wynika stąd, że na sąd ho-

norowy zdawać się nie można, chyba że się zgóry oświadczy, że się jest przeciwnikiem pojedynku (antyduelantem). Tego rodzaju jednak postawienie sprawy wymaga nie tylko głębokiego przekonania, ale i dużej odwagi cywilnej. Łatwiej bowiem dać dowód odwagi stojąc na mecie, niż uchylając się od stanięcia w imię swoich przekonań, lub nakazów Kościoła. Jeżeli wziąć pod uwagę, że w niektórych ugrupowaniach społecznych, jak np. wśród wojskowych, uchylenie się od pojedynku może pociągnąć za sobą uznanie niehonorowości przez Sąd oficerski i wydalenie z wojska, to łatwo jest zrozumieć, jak ciężkiem może być położenie jednostki, pozostawionej samej sobie i zasłaniającej się jedynie swojemi przekonaniami.

Jako proste następstwo tego wynika stwierdzenie, że, jeśli się chce zwalczać pojedynki, nie wystarczy pozostawiać to jednostkom, a trzeba prowadzić walkę zorganizowaną. Organizacja tej walki jest zresztą niezbędną ze względu na to, że pojedynek miał i ma formę zwyczaju, t.j. sposobu działania przez społeczeństwo uznanego i głęboko, niestety, zakorzenionego. Jeżeli się chce ten zwyczaj wytępić, to nie wystarczy uchylenie się jednostek od pojedynku w sporadycznych wypadkach. Trzeba w ciągu dłuższego czasu na społeczeństwo oddziaływać, jeśli się chce wpłynąć na zmianę istniejących w niem poglądów i przekonań. W ten sposób walka z pojedynkiem wymaga należycie zorganizowanej i systematycznie prowadzonej akcji społecznej.

Z drugiej strony akcja tego rodzaju winna stać się oparciem dla jednostek, mających w sobie dostateczną siłę przekonań i zasób odwagi cywilnej, aby w razie potrzeby uchylić się od wyzwania.

Najskuteczniejszym środkiem byłoby tutaj zrzeszanie się jednostek w organizacje antypojedynkowe, których członkowie słowem honoru zobowiązaliby się do nieprzyjmowania wyzwania na pojedynek i poddawania każdej sprawy honorowej do rozpatrzenia sędziom, obieranym przez organizacje. Tego rodzaju stowarzyszenie powstało w r. 1844 w Anglji i dzięki przystąpieniu do niego szeregu osób wybitnych odegrało i odgrywa znaczną rolę w akcji przeciwpojedynkowej. Potrzebne stowarzyszenia pod nazwą lig antypojedynkowych powstały również w szeregu innych krajów europejskich i wszędzie

zdołały osiągnąć pozytywne wyniki. Liga taka istnieje i w Polsce, mianowicie we Lwowie, gdzie powstała jeszcze przed wojną*). Niestety, żadnej żywszej działalności Liga ta nie ujawnia i szerokie koła społeczne nic o niej nie wiedzą. Co do pozostałych organizacji to, o ile jest mi wiadomem, jędynie należenie do Związku Harcerstwa Polskiego nakłada na członków obowiązek stanowczy niebrania udziału w pojedynkach**).

W ten sposób dla szeroko zakreślonej akcji antypojedynkowej znajduje się w Polsce obszerne a wdzięczne pole działania i w akcji tej winni wziąć udział wszyscy, którym na sercu leży wytępienie tego zgubnego zwyczaju, jakim jest pojedynek.

Akcja społeczna powinna iść wszakże nie tylko w kierunku uświadamiania społeczeństwa i organizowania go w ligi antypojedynkowe, lecz również w kierunku wywarcia nacisku na władze, aby przez wydanie stosownych przepisów zapobiegły szerzeniu się pojedynków.

Nie chodzi mi tutaj o przepisy prawa karnego, które istnieją i, jak to wyżej było już powiedziane, w praktyce okazują się bezskutecznemi. Chodzi mi o wydanie przepisów dla wojskowych, któreby wprost zakazywały pojedynków i ustanowiły surowe sankcje aż do wydalenia z armji za przekroczenie tego zakazu. W sferze wojskowych przyzwyczajonych do posłuchu i subordynacji, przepisy takie nie mogłyby pozostawać martwą literą i „bongre, malgre" musiałyby być przestrzegane, a usunięcie pojedynków z wojska niewątpliwie przyczyniłoby się do wydatnego zmniejszania się ich ilości wśród osób cywilnych. Wymowny zresztą przykład skuteczności takich przepisów dała Anglja, w której wprowadzono je na wniosek księcia Alberta (męża królowej Wiktorji) i w której dziś pojedynki są rzeczą nieznaną. Mniemanie jakoby utrzymanie pojedynków przyczyniło się do utrzymania „kurażu militarnego" w armji zostało już oddawna zarzucone

---

*) Liga obrony czci.

**) St. mł. ak. „Odrodzenie" i Chrześcijański Związek Korporacyj zakazały również swoim członkom brania udziału w pojedynkach (przyp. Red.)

i zdyskwalifikowane, jako „głupie i niegodne człowieka rozumnego" *). Z odpadnięciem zaś tego czysto utylitarnego argumentu, jest nie do pomyślenia tego rodzaju stan rzeczy, aby oficer tylko dlatego, że jest oficerem, nie miał prawa uchylić się od pojedynku, a tego rodzaju stan rzeczy istnieje w Polsce.

Im prędzej on się skończy, tem szybciej nastąpi u nas zanik tego barbarzyńskiego przesądu, który J. J. Rousseau nazywa hańbą ludzkości i ostatnim stopniem zwierzęcości, do jakiego ludzie zejść mogą...

Najwyższy czas jest przestać strzelać do siebie, lub bić się na szable do pierwszej czy ostatniej krwi, bo śmierć zadana nawet w pojedynku, nawet z umówionej broni oraz w umówionym miejscu i czasie, z moralnego punktu widzenia jest i będzie zawsze tylko morderstwem i zbrodnią.

Stanisław Janczewski.

Ruch społeczny wśród studentów niemieckich przed wojną.

(Na podstawie niemieckiego wypracowania).

Wobec coraz bardziej wzrastającego dziś wśród młodzieży studenckiej zainteresowania się kwestją socjalną, warto się przyjrzeć przedwojennej pracy społecznej studentów tego kraju, który był ojczyzną ksks Kettelerów i Kolpingów i który wydał także autora „Manifestu Komunistycznego" — Marksa.

Trudno ściśle określić czas, w którym sfery studenckie Niemiec zabrały się do pracy społecznej, bo aczkolwiek tu i owdzie poszczególne jednostki jeszcze w zeszłym wieku szły śladem Ks. Kolpinga czy ks. bpa Kettelera, zbiorową pracą na tej niwie, właściwym ruchem społecznym niemieckich studentów, wykazać się może dopiero pierwsza dziesiątka obecnego stulecia. Przez cały zatem wiek XIX, pełen przewrotów społecznych, sfery studenckie pozostały obojętne na wzrastający coraz bardziej ruch robotniczy. Student niemiecki zaledwie zauważył owe zmiany

---

*) „Inceptum et indignm sapienti viri opinio"—słowa enc. Leona XIII

w dziedzinie gospodarczej, które przecież tak bardzo łączyły się z dolą i niedolą robotnika. Wypierająca rękodzielnictwo maszyna, z entuzjazmem witana przez kapitalizm, święciła triumfy w pochodzie swym, wprowadzając nowe warunki pracy. Na miejscu dotychczasowych mniejszych warsztatów powstały olbrzymie fabryki, grupujące około siebie tysiące robotników, dając tem samem początek rozlicznych miast robotniczych. Zaczęła się szerzyć specjalizacja; robotnik nie umiał całokształtu pracy, jak dawniej, tylko pewną, oderwaną od całości część, której nigdzie indziej użyć nie mógł. Widmo głodowej śmierci w razie bezrobocia zatem wzrastało coraz bardziej. Praca w fabryce stała się dla robotnika czemś zupełnie martwem, nie dała żadnego zadowolenia. Narzędzia—a były niemi teraz maszyny—nie służyły już pracownikowi, tylko robotnik sam musiał obsługiwać maszynę. A przytem dążenia kapitalizmu do jaknajwiększego produkowania i zysku—kosztem robotnika i wzrastające stąd nienawiści klasowe: wszystko to było obce studentowi niemieckiemu. Zdawał się nie słyszeć huczącej fali pochodu robotniczego, która w uszach Lassalle'a brzmiała jako „der dumpfe Massenschrit der Arbeiterbataillone". Podczas gdy jego rówieśnicy, nie studenci, którzy to niegdyś wędrowali od wioski do wioski i od miasta do miasta jako czeladnicy, już dawno byli w szeregach robotników przemysłowych, podczas gdy nawet kobiety i dzieci zmuszone były zarabiać na twardy chleb codzienny w ponurych murach fabryki—student niem. żył jeszcze tradycją poglądów patryarchalnych i tą beztroską, cechującą studenterję niemiecką z czasów przedwojennych.

To miało się jednakże niebawem zmienić. I oko studenckie miało się wkrótce zwrócić ku wszystkim tym zmianom i nowościom, które zalewały prawie całą Europę. Różne przyczyny składały się na nastawienie umysłowości studentów niem. w kierunku ruchu społecznego i pracy socjalnej.

Najpierw zaprowadzenie nowych przedmiotów naukowych na wyższych uczelniach. Wszak nowoczesne przewroty gospodarcze pociągały za sobą przewroty w dziedzinie umysłowej. Nowe stosunki wymagały nowych praw. Prawnik musiał się liczyć ze zjawiskami wielkomiejskiemi, z nowemi pojęciami prawnemi wśród mas ludowych, musiał brać pod uwagę prawo koalicyjne, siłą konieczności musiał się zainteresować trustami,

objawem strejku i lokautu i t. p. Medycyna znowu musiała się zajmować różnemi chorobami, właściwemi poszczególnym zawodom; w jej zakres wchodziła także kwestja kas chorych. Teologję zaś czekało rozwiązanie nowych zagadnień z dziedziny moralnej np.: praca, jej znaczenie i wartość; płaca na tle nowych stosunków gospodarczo-społecznych; wpływ nowych stosunków gospodarczych na duchowe życie wiernych; stosunek pracodawcy do pracobiorcy; praca kobiet; zachowywanie przykazań na tle nowych stosunków socjalnych i mnóstwo innych tematów. Każdy zawód w ten sposób znacznie rozszerzył granice swej wiedzy. Zrozumiało to i państwo, zaprowadzając szereg społecznych kursów uzupełniających jak np. dla lekarzy i prawników. A uniwersytety zaczęły odtąd bardziej i intensywniej, niż kiedykolwiek, traktować sprawy bieżące, zwłaszcza z niwy społecznej.

Nie tylko zmiana i rozszerzenie programu naukowego na korzyść nauk socjalnych sprawiły, że studenci niemieccy zaczęli interesować się również swem otoczeniem, zaczęli zważać na to, co się wkoło nich działo, ale w wielkiej mierze przyczyniły się do tego także stosunki, jakie się wytworzyły przez stykanie się na jednym i tym samym bruku poczerniałych twarzy robotniczych z czapkami studenckiemi. Poruszony tłum, który nie pozostał tylko na ulicy, ale wtargnął pod sam gmach Uniwersytetu, obserwował bacznie życie studenterji. Liczono dnie i godziny, które ona spędziła na hulance lub marnowała na prostem łazikowaniu i próżnowaniu. I pytano się tam w tłumie: dlaczego wolno studentowi siedm dni świętować, podczas gdy oni tylko jedną niedzielę w tygodniu mają. A zrozumiemy jeszcze lepiej ten rażący wprost kontrast tego rodzaju życia studenckiego z jego otoczeniem, gdy wyobrazimy sobie miasto uniwersyteckie w środowisku przemysłowem. Codziennie stykają się tam spracowane i zmarnowane twarze robotników fabrycznych z wesołą, pełną bezroski miną rozbawionych studentów, szlifujących bruk zadymionej ulicy. Nie dziw, że wobec takiego widoku wzbudził się w piersi robotnika robak niewiści klasowej. I zrozumiano, że taki kontrast powiększa tylko przepaść między wykształconymi a niewykształconymi i bardziej utrwala wśród ludu przekonanie o prawdziwości tezy marksowskiej, że jedynie praca ręczna zdoła stwarzać wartości.

Zaczęto zatem myśleć o zażegnaniu zła, o naprawie stosunków. A mogło się to stać jedynie przez socjalne wychowanie młodzieży uniwersyteckiej. Ale przekonano się wkrótce także, że nietylko sam nowy program naukowy, ani wzgląd studentów na ich otoczenie zdołają poprowadzić młodą inteligencję po torze ideologji socjalnej. Czekały niemieckiego studenta jeszcze niejedne obowiązki względem ludu, a to obowiązki niemałej wagi. I tak zdawano sobie sprawę z tego, że przyszłość tworzącego się ludu potrzebuje uczonych przewodników, ich współpracy i pomocy. Wołano na głoś: inteligencja w lud! A wołanie to rozlegało się po wszystkich wsiach i miastach. Domagały się ingerencji inteligencji okna wystawowe, repertuary teatrów i widowisk świetlnych, księgarnie i kioski. Wszystko to było najlepszem zwierciadłem spaczenia w wychowaniu narodowem ówczesnych Niemiec. Lud karmił się strawą, podawaną mu w „przystępnej formie” przez bałamucicieli i pseudonaukowców, podczas gdy świat prawdziwie uczony i katolicki trzymał się zdala od intensywnej pracy nad ludem, a jednostki wśród nawału pracy społecznej ginęły, jakby na głuchej puszczy.

Wreszcie jako jedno z najważniejszych zadań uważano konieczne pojednanie inteligencji i klasy t. zw. posiadającej z ludem pracującym. Wszak w czasach, gdy pracodawca i pracobiorca wspólnie pracowali w warsztacie, pewna równość klas już była dana przez samo życie. Z nastaniem jednakże maszyn i fabryk zaczęła się wytwarzać pewna klasowość, zaczęto mówić o proletarjacie i kapitaliźmie wzgl burżuazji. Do tego doszło nierówne wykształcenie poszczególnych klas. A wiadomo, że, jak życie umysłowe trudno sprawia należytą łączność między panem a robotnikiem, tak znowuż praca fizyczna częstokroć przytępia umysłowość i czyni ludzi niezdolnych nie tylko do samodzielnego myślenia, ale i do zrozumienia i ocenienia pracy umysłowej. Wykształconemu trudno się zniżyć do sposobu myślenia pracownika fizycznego, a robotnik nie zdoła pojąć znaczenia i mozołów pracy umysłowej, do tego stopnia, że nie życzy np. profesorowi kilka chwil przechadzki po parku, czy zasłużonych wakacyj, które mają uspokoić nadwyrężone nerwy. I nic dziwnego, że takie nastały nieporozumienia. Wszak inteligent i zwyczajny robotnik poprostu siebie nie znają, nigdy się bliżej nie stykali, nie wypowiadali się

o swych kłopotach i radościach. W dodatku jeszcze zgubna agitacja wśród ludu zwiększyła mur między temi obiema warstwami.

Poznano i zrozumiano powoli, że przewroty społeczne i gospodarcze wieku XIX-go zrodziły także szereg nowych obowiązków dla inteligencji: obowiązek studjum socjologji, obowiązek wglądu i pracy pojednawczej. Zwłaszcza młodzież studjującą należało zapoznać z temi zadaniami; bo pełna zapału i energji młódź zdoła głębiej i intensywniej przygotowywać się do służby społecznej dla ludu i narodu i służbę tę wiernie i chętnie spełniać. Trzeba więc było zebrać tych młodych bojowników idei kolpingowskiej, dać im do ręki pług socjalny i posłać ją na ugorem leżące pola pracy nad ludęm.

Pierwsze kroki uczynił inżynier Wagner, który w roku 1901 zaprowadził w Charlottenburgu pierwszy studencki kurs naukowy dla robotników (studentischer Arbeiterunterrichts-kursus) Prawie równocześnie daje się w całych Niemczech zauważyć ruch wykształcenia polityczno-obywatelskiego. Zagadnienia, tyczące się polityki, państwa i obywateli poruszali nie tylko dziennikarze na łamach prasy codziennej, ale zajmowali się tym tematem także powieściopisarze. Idee społeczne bardziej niż kiedykolwiek zaczęły teraz przenikać katolickie korporacje studenckie. Powzięto szereg uchwał i rezolucyj, nawołujących do pracy społecznej. W roku 1908 katoliccy studenci utworzyli w München-Gladbach specjalny „Sekretarjat Społecznej Pracy Studenckiej" („Sekretariat Sozialer Studentenarbeit"), który cieszył się gorącem poparciem różnych, nawet bardzo poważnych towarzystw, mających na celu pracę socjalną. „Sekretarjat" stał się wogóle niejako związkiem i ośrodkiem bardzo intensywnej i szeroko rozgałęzionej pracy. Założono np. własny organ „Soziale Studenten Blätter", wydawano mnóstwo ulotek, starano się rozwijać jak najwyższą propagandę. Zorganizowano t. zw. „Sozjale Ferienvereinigungen" czyli związki wakacyjne. Są to powiatowe, lub gminne organizacje studentów celem wzbudzenia społecznego i obywatelsko-państwowego zainteresowania i pogłębienia posiadanych już wiadomości. Praca w tych związkach wakacyjnych przedstawiała się w ten sposób, że obierano sobie coraz to inny przedmiot studjum, jak: zakłady elektryczne, dworce, fabrykę i t. p. by przyjrzeć się tam pracy i życiu robotnika. Nie zapominano także o warunkach mieszkaniowych robotników. Zwiedzania te uzupełniano

później referatami i wykładami, by stworzyć sobie zaokrąglony sąd na całokształt zagadnienia społecznego. Takich zwiedzań i wykładów było w jednym tylko roku 1912-tym czterysta czterdzieści; a związków wakacyjnych zorganizowano od r. 1908 do Wielkanocy 1912 dwieście jedenaście. Wcale pokaźna ilość!

Obok związkow wakacyjnych istniały mniejsze koła naukowe, gdzie na podstawie poważnych dzieł przyswajano sobie potrzebne wiadomości z dziedziny socjologji. Co tydzień urządzano wspólne schadzki, by omówić różne tematy z dziedziny socjalnej. Ale nie poprzestawano w tych kołach tylko na samej nauce; szerzono jak najdalej idącą agitację, by jak najwięcej studentów zapoznać z pracą społeczną i charytatywną. Za pośrednictwem różnych kół i kółek brała ta młoda inteligencja udział w najrozmaitszych towarzystwach i związkach zawodowych, zapoznawając się w ten sposób z różnemi gałęźmi i systemami pracy społecznej; zaprawiała się do kierowania towarzystwami dobroczynnemi. Niejeden młody człowiek miał wreszcie już wówczas okazję, przysłużyć się czynnie ludowi. Młodzież studencka garnęła się do pracy biurowej w zakładach przemysłowych, chętnie udzielała swych sił i zdolności do współpracy w amatorskich teatrach ludowych, starając się o postawienie i zachowywanie ich na odpowiednim poziomie. Studenci dalej nie tylko pracowali w bibljotekach ludowych i towarzystwach czeladzi i młodzieży, nie tylko organizowali ludowe wieczory oświatowe, ale objeżdżali także wsie i środowiska przemysłowe, wygłaszając wszędzie popularne wykłady i odczyty, a z młodzieżą rzemieślniczą i robotniczą urządzali wspólne wycieczki i przechadzki, które w niemałej mierze przyczyniły się do zbliżenia tych dwóch klas ze sobą.

Jako zupełną nowość przywitano zainicjowanie wspólnej pracy studentów z młodzieżą rękodzielniczą w domach czeladniczych. Po raz pierwszy miało to miejsce w październiku 1908 r. w Kolonji, gdzie w tamtejszym domu czeladniczym około 300 „synow Kolpinga” zetknęło się z grupą studentów do wspólnej pracy dziennej i do wzajemnego poznawania się. Serca dwu dotąd przeciwnych sobie warstw młodzieży biły wspólnie pod jednym dachem. Poznały się i pokochały się. Część dnia spędzono na wspólnem, pożyciu i pracy w domu czeladniczym, a resztę wypełniły wykłady, odczyty, zwiedzania, zbierania dysku-

syjne i praca charytatywna. Za Kolonją szły inne miejscowości w organizowaniu wspólnej pracy studentów z czeladnikami w domach czeladniczych. Niejednokrotnie ukształtowano tę wspólność pracy w ten sposób, że jeden student sam poprostu zamieszkiwał na jakieś 2—3 miesiące w takim domu czeladniczym, udzielając się swym towarzyszom-czeladnikom pomocą naukową, nie zaniedbując przy tem i szerszej pracy społecznej i dobroczynnej.

Innym środkiem zbliżania młodzieży studenckiej z ludem roboczym były kursy robotnicze, gdzie robotnicy i robotnice pod kierownictwem studentów mieli możność nie tylko pogłębiać i uzupełniać swe wiadomości, nabyte w szkole powszechnej, ale także wypowiadać się ze swych myśli i zapatrywań. I tutaj poznawano się wzajemnie; student zapoznał się ze sposobem myślenia pracowników fizycznych, robotnik znowuż mógł wglądnąć w duchowe życie uczącej się młodzieży.

Zapoczątkowana praca żywo się wzmagała, budząc zaciekawienie szerszych kół niemieckiego społeczeństwa. Wszak także świadome swej kobiecej natury studentki zabrały się energicznie do pracy na niwie społecznej. Ileż to ulgi i pociechy przyniosły one niejednej rodzinie robotniczej! Z iście matczyną miłością szły one do nor nędzy i biedy, ocierając łzy i podawając przyjazną dłoń.

Oto kartka z początkowego ruchu społecznego wśród niemieckiej młodzieży uniwersyteckiej przed wojną. W tych kilku pierwszych latach, aż do wybuchu wojny światowej zdołano uzbierać przepiękne wawrzyny. Wojna światowa jednakże nie tylko, że przerwała nić spokojnej pracy społecznej, ale wykazała w swym epilogu tę smutną prawdę, że do pracy socjalnej zabrano się w kołach studenckich zbyt późno tak, że mimo pierwszych sukcesów przedwojennych nie zdołano uratować naród od dalszego postępu socjalizmu i komunizmu. Dziś katolicka młodzież studencka Niemiec z nowym zapałem bierze się do dzieła, by rzesze robotnicze i lud poprowadzić torem katolickiej, chrześcijańskiej ideologji socjalnej.

A. F. Kowalkowski.

Niebezpieczeństwo się zbliża.

Koncentryczny atak lewicy na religję i Kościół Katolicki.— Stanowisko rządu. — Akcja wolnomyślicieli. Katolicka opinja publiczna protestuje przeciwko krematorjom. — Profanacja kościoła. — O wykonanie Konkordatu. — Interpelacja Chrześcijańskiej Demokracji. — Oblicze moralne wrogów Chrystusa.

Bezwględna i nieubłagana walka, którą wydały P. P. S., Wyzwolenie i Partja Chłopska wraz z masonerją i sprzymierzonymi z nią czynnikami wpływowymi... wszystkiemu, co katolickie w Polsce przybiera coraz bardziej na sile i zwartości. Już w poprzednim numerze podaliśmy szereg szczegółów. Każdy miesiąc przynosi garść nowych faktów, wobec których katolicka opinja publiczna nie może przejść do porządku dziennego. Grudzień był pod tym względem miesiącem brzemiennym w znamienne wydarzenia.

Nigdy jeszcze tak jasno i wyraźnie, z taką zajadłością nie wystąpili słudzy Antychrysta przeciwko religji, jak stało się to podczas obrad komisji budżetowej Sejmu nad budżetem Min. Wyznań Rel. i Oświecenia Publ., zwłaszcza w części do tyczącej departamentu Wyznań Religijnych.

Dnia 17 grudnia wygłosił w komisji budżetowej przemówienie poseł Czapiński z P. P. S., zwany osobistym nieprzyjacielem Pana Boga i oświadczył:

„Proponujemy skreślić cały budżet wyznań w kwocie 25 milj. Ponieważ jednak pozycje wyznaniowe są związane z konkordatem, uważamy to za formę zerwania konkordatu.

Proponując zerwanie konkordatu, wyrażamy tem nietylko nasze zasadnicze stanowisko rozdziału Kościoła od państwa, ale także protest przeciw niesłychanemu rozpolitykowaniu się kleru.

Następnie przemawiał p. pos. Kalinowski (Wyzw.) który dodał:

„Jestem za skreśleniem całego działu 2-go budżetu min. w. r. i o. p. (t. j. wyznania religijne), wychodząc z założenia o konieczności rozdziału Kościoła od państwa i podkreślając możność zmiany dotychczasowego stosunku wobec rewizji Konstytucji".

W cztery dni później odbyło się w komisji głosowanie nad wnioskami P. P. S., Wyzwolenia, Stronnictwa Chłopskiego, względnie posłów z wyżej wymienionych ugrupowań przyczem: 1) Wniosek o skreślenie całego działu budżetowego wyznań

religijnych nie został poddany przez przewodniczącego p. Byrkę pod głosowanie, jako sprzeczny z obowiązującymi ustawami i Konkordatem, przeciw czemu wnosili interpelację pp. Czapiński z P. P. S. i Woźnicki z Wyzwolenia. 2) Wniosek p. Putka z Wyzwolenia o skreślenie 147000 zł. z pozycji „wyznania katolickie" został poddany pod głosowanie, aczkolwiek kwota ta jest przewidziana w Konkordacie i przeszedł 14 głosami przeciwko 13. 3) Wniosek Czapińskiego z P. P. S., o manifestacyjne skreślenie 1000 zł. został odrzucony 13 głosami przeciwko 12. 4) Również upadł wniosek lewicowy o skreślenie marnej 25.000 dotacji na Uniwersytet Lubelski. 5) Równocześnie ci sami „przedstawiciele ludu" — *katolickiego* (!) mieli czelność głosować za wnioskiem mniejszościowym pp. Grynbauma i Utty o poparcie prywatnych szkół niemieckich i żydowskich i domagali się 200.000 subsydjum na założenie Uniwersytetu Ukraińskiego we Lwowie. *Sumy, z których obdarli Kościół Katolicki chcieli ofiarować natychmiast Niemcom, Żydom i Ukraińcom*!

Zagadnieniem bardzo ciekawym jest pytanie, jakie stanowisko zajmie Rząd wobec wyraźnego dążenia lewicy, a także znacznej części klubu B. B. do zniszczenia wszystkich instytucyj katolickich i rozdziału Kościoła od Państwa.

Otóż stwierdzić należy, że stanowisko poszczególnych dygnitarzy jest bardzo często tajemnicze i dwuznaczne. Wiemy np. że Komisja kodyfikacyjna ma już prawie wykończony projekt prawa małżeńskiego, wprowadzający śluby cywilne. Rząd w tej sprawie już oddawna nurtującej katolicką opinję publiczną, nie wypowiedział się dotychczas zupełnie. Milczenie to jest dosyć niepokojące, zwłaszcza wsród takich okoliczności...

Powróćmy jednak to debaty w komisji budżetowej. Minister Wyznań Rel. i Oświecenia Publ. p. Świtalski w dość charakterystyczny sposób polemizował z wnioskiem lewicy o skreślenie budżetu wyznań. Oto jego słowa przytoczone dosłownie według relacji „Kurjera Warszawskiego":

„Żądano tu — mówił minister — wykreślenia pozycji na wyznania. Budżet ministerjum opierać się musi na ustawach. Jedną z nich jest konkordat, który jest koniecznością państwową Propozycja p. Czapińskiego zerwania konkordatu przez wykreślenie sum na wyznanie jest zupełnie

niedopuszczalna w praworządnem państwie Jeśli sejm zechce wypowiedzieć konkordat, może to uczynić, dotychczas jednak konkordat obowiązuje, (podkr. Red.) szanować go musimy, a jedną z jego konsekwencji są wydatki na wyznania. Każdy minister mego resortu musi się starać o załatwianie spraw wyznaniowych w sposób niedrażniący. Wiele z poruszonych zarzutów dotyczy spraw drobnych i niezwiązanych ściśle z religją, nie trzeba ich też na tę platformę przenosić i nie trzeba wydobywać namiętności religijnych".

Słowa te muszą wywołać poważne refleksje w umyśle każdego katolika. Co się stanie, gdy w Sejmie i w Senacie znajdzie się zdecydowana większość za zerwaniem Konkordatu. Czy p. Świtalski i jego przyjaciele ideowi staną w obronie konkordatu z pobudek zasadniczych? Zacytujmy jeszcze owe słowa ministra i zastanówmy się nad ich sensem:

„Jeśli Sejm zechce wypowiedzieć konkordat, może to uczynić, dotychczas jednak Konkordat obowiązuje..."

* * *

Oprócz ataku koncentrycznego w samo serce pozycji katolickich: w szkołę, w rodzinę, w konkordat—odbywa się stale walka na bocznych, że się tak wyrazimy, choć nie mniej ważnych, odcinkach. Oto mamy przed sobą wniosek, dotyczący ważnej bardzo dziedziny życia religijno-wyznaniowego, złożony w Sejmie w miesiącu grudniu, który podajemy w streszczeniu „Rzeczypospolitej":

Pos. Langer i inni posłowie z „Wyzwolenia" zgłosili wniosek w sprawie ustawy „o wolności sumienia i wyznania". Najważniejsze punkty tego wniosku, zmierzającego do rozszerzenia sekciarstwa są następujące:

Art. 1. Wszyscy obywatele państwa polskiego mają poręczoną w myśl art. 111 i 116 konstytucji wolność sumienia i wyznawania publicznie i prywatnie zasad swojej religji. W wykonaniu tego prawa obywatele Rzplitej mogą dobrowolnie zrzeszać się w związki wyznaniowe i pozawyznaniowe.

Art. 2. Każdy związek wyznaniowy i pozawyznaniowy zostaje uznany przez państwo o ile jego urządzenia, nauka i ustrój nie są przeciwne porządkowi publicznemu ani obyczajności publicznej, a działalność związku nie staje w sprzeczności z ustawami państwa.

Dalsze artykuły wniosku przewidują, że dla zarejestrowania związku wyznaniowego winno być złożone w min. oświecenia oświadczenie podpisane conajmniej przez 50 osob obywateli polskich, korzystających z pełni praw z dołączeniem dwóch egzemplarzy statutu związku. Brak odpowiedzi odmownej na podanie o rejestrację w przeciągu 3 miesięcy należy uważać za zgodę na rejestrację. Do przystąpienia do związku wyznaniowego lub pozawyznaniowego uprawniony jest każdy obywatel polski, który ukończył lat 21 i złożył w powiatowej władzy admin. osobiste zgłoszenie

o wystąpieniu z dotychczasowego wyznania. Wreszcie wniosek przewiduje przekazanie prowadzenia aktów stanu cywilnego władzom administr.

Nikt nie odmawia obywatelowi Rzeczypospolitej prawa przynależności do takiego, czy innego zrzeszenia religijnego, byleby tylko obrzędy jego i działalność nie sprzeciwiały się dobrym obyczajom (jak np. sekta marjawicka). Lecz akcja ta ma inny cel przed oczyma. P. Langerowi i jego towarzyszom chodzi o to, aby w Polsce powstała masa sekt, nie dlatego, żeby on był zwolennikiem takiego czy innego kierunku teologicznego, lecz poprostu w celu zadania stanowczego ciosu Kościołowi katolickiemu.

I równocześnie z akcją w parlamencie, zainicjowaną przez Wyzwolenie t. zw. „Polski Związek Myśli Wolnej” wydaje odezwy zapraszające na „wiec manifestacyjny za wolnością sumienia w Polsce”, w której czytamv dosłownie:

Wbrew prawu i wbrew logice życia nie mamy dotychczas ani szkoły świeckiej, ani wspólnych cmentarzysk komunalnych, ani państwowej rejestracji akt stanu cywilnego, niezależnej od parafji wyznaniowych, ani nawet prawnopaństwowego uznania bezwyznaniowości, czy też innych wyznań religijnych, poza kilkoma wyznaniami uprzywilejowanemi. Mamy natomiast konkordat, zmuszający Polskę do utrzymania kościołów wyznaniowych kosztem 26,000.000 złotych rocznie z czego sam jeden kościół rzymsko-katolicki zabiera prawie 23.000.000 zł., mamy wciąż wzrastającą chmarę mnichów i mniszek, usuwanych ze wszystkich ucywilizowanych krajów świata, a znajdujących w Polsce swój kraj obiecany, mamy wreszcie słynny okólnik ministerjalny, oddający dusze naszych dzieci w niewolę prefektów szkolnych.

Wiec manifestacyjny, który obecnie zwołujemy, ma być wyrazem naszego protestu przeciwko takiemu stanowi rzeczy. Chcemy naszemu rządowi i ciałom ustawodawczym jasno i wyraźnie powiedzieć, że żądamy od nich wykonania ich obowiązku, polegającego na wprowadzenie w życie wolnościowych ustaw konstytucyjnych.

Mamy więc cały program antykatolicki ujęty w kilku słowach. Panom tym nie wystarczy zalegalizowanie gminy bezwyznaniowej. Oni żądać będą coraz więcej: szkoły bezwyznaniowej, małżeństwa cywilnego, zerwania konkordatu, jednym słowem narzucenia katolickiemu w swej olbrzymiej większości społeczeństwu polskiemu więzów państwa świeckiego, laickiego według systemu francuskiego lub meksykańskiego do wyboru!

A jakie rezultaty daje rozpowszechnianie się w Polsce sekciarstwa — podajemy tytułem przykładu notatkę z № 380 „Gazety Warszawskiej":

Miejscowość Borowica w powiecie chełmskim była terenem skandalicznych zajść, wywołanych przez miejscowych hodurowców. Ściągnęli oni do Borowicy duchownego swego z Piasków Luterskich niejakiego Sinkę, zorganizowali tłum i przemocą wtargnęli do miejscowego kościoła katolickiego. Opanowawszy w ten sposób kościół, odprawili w nim swoje nabożeństwo hodurowskie, znieważając świątynię katolicką. „Zdobyty" kościół zamienili odrazu na swój dom modlitwy.

Wśród ludności katolickiej skandaliczny ten fakt wywołał zrozumiałe oburzenie. Sprawą tą zainteresowały się władze. Na miejsce zjechała policja i prokurator. Hodurowców z kościoła wyrzucono i z polecenia władzy duchownej kościół znieważony przez sekciarzy zamknięto.

Najpierw będą prawować się z nami w parlamencie i urzędach, a potem, gdy poczują się na siłach, gwałtem będą odbierać nam świątynie!

* * *

To nie są wypadki sporadyczne, lecz systematyczna i zażarta walka. Atakujący mają swoje sztaby i działają według dokładnie opracowanego planu.

Czy katolickie organizacje i ugrupowania i katolicka opinja publiczna — zdają sobie sprawę z sytuacji?

Nie można powiedzieć, by z ich strony nie było wyraźnych i zdecydowanych odruchów samoobrony. Ale są to, jak dotychczas, tylko odruchy.

Oto w odpowiedzi na profonacje krzyżów odbywa się szereg wieców i zebrań protestacyjnych.

Oto młodzież akademicka protestuje przeciwko prześladowaniom w Meksyku.

Oto w połowie grudnia odbywa się w Warszawie wiec p. t. „Po usunięciu księży palenie zwłok (krematorja"), który uchwala rezolucję następującą:

„Obywatele stolicy państwa, Polacy — katolicy, zebrani w dniu 8 grudnia 1928 roku na wezwanie Towarzystwa im. Piotra Skargi w sali Twa Higjenicznego, uchwalają co następuje: Wobec tego, że grzebanie zmarłych jest nietylko tradycyjną formą pogrzebu chrześcijańskiego, lecz nadto formą, odpowiadającą chrześcijańskiej ideologji, — wszelka próba, usiłująca wprowadzić do rdzennie chrześcijańskiego kraju niezgodne z tą formą palenie ciał, jest sprzeczną z nauką Kościoła katolickiego i obraża uczucia olbrzymiej większości społeczeństwa polskiego. Ponadto, wobec tego, że zamiar ten staje w sprzeczności z najprostszemi postulatami prawa ogól-

nego i żadnej korzyści dla higjeny nie przynosi, a pociąga za sobą ogromne koszta i to w chwili, kiedy w kraju naszym tysiące żywych nie mają dachu nad głową, kiedy dla młodzieży brak budynków szkolnych a dla chorych szpitali — ta wyszukana troska o niezwykłe formy pogrzebu zmarłych tłumaczyć się tylko daje sekciarskiemi zapędami masonerji, jedynej promotorki tego rodzaju pogrzebów.

Wobec tego zebrani protestują przeciwko wprowadzaniu w jakiejkolwiek formie palenia zwłok zmarłych.

Oto obradująca w dniu 16 grudnia w Warszawie Rada Naczelna Polskiego Stronnictwa Chrześcijańskiej Demokracji ostrzega społeczeństwo i zwraca uwagę władzom wykonawczym Stronnictwa na niebezpieczeństwo grożące religji w słowach następujących:

Wobec powtarzających się systematycznie ataków pewnych kół na Kościół i wychowanie religijne młodzieży, Rada Naczelna wzywa reprezentację parlamentarną Ch. D. do zwrócenie szczególnej uwagi na potrzebę energicznej obrony praw Kościoła i religji we wszystkich wypadkach tego rodzaju, a Zarząd Główny do systematycznego informowania o nich opinji publicznej.

A w parlamencie mówcy i działacze ugrupowań katolickich wygłaszają przemówienia w obronie religji i Kościoła, stawiają wnioski i poprawki. Podajemy np. w całości interpelację, zgłoszoną przez senatorów Chrześcijańskiej Demokracji z dn. 19 grudnia, dotyczącą istniejących jeszcze u nas z czasów carskich ograniczeń kościoła katolickiego:

„Święcimy w tym roku dziesięciolecie odzyskanej niepodległości, a tymczasem przywileje cerkwi prawosławnej, ustanowione przez zaborców rosyjskich, nie zostały jeszcze zniesione.

Prawo rosyjskie małżeńskie z r. 1891 stało na gruncie, że sprawa zawierania i rozwiązywania małżeństw opiera się na prawie kanonicznem dla katolików. Tymczasem w r. 1891 podczas wzmagającego się ucisku wszystkiego, co nieprawosławnego, zniesiono trzy artykuły prawa o małżeństwie art. 197, 198 i 205, łamiąc zupełnie zasady, że dla małżonków katolików, którzy brali ślub w kościele katolickim, tylko konsystorz katolicki jest uprawniony do rozstrzygania w sprawach małżeńskich. Po zniesieniu tych artykułów wystarczało, by jedno z małżonków przeszło na prawosławie, by jurysdykcję w sprawie małżeństwa i rozwodu oddać konsystorzowi prawosławnemu. Senat dnia 23 lipca 1926 r. uchwalił rezolucję, wzywającą Rząd, by dla b. zaboru rosyjskiego przywrócić art. 197, 198 i 205.

Oprócz tego Senat uchwalił domaganie się zniesienia art. 199 — 203 ustawy rosyjskiej, które nakazują m. in. wychowanie dzieci w religji prawosławnej, gdy jedno z małżonków jest prawosławne.

Jednogłośna uchwała Senatu z dn. 23 lipca 1926 r. nie skłoniła jednak Rządu do wniesienia noweli uchylającej przywileje cerkwi prawosławnej, a konsystorz prawosławny rozwiązuje dalej małżeństwa katolickie, jeżeli jedno z małżonków przejdzie w tym celu na prawosławie.

W dwóch wypadkach, gdy poszkodowana strona katolicka odniosła się do sądu, Sąd Najwyższy orzekł, że odnośne artykuły prawa małżeńskiego z roku 1836 nie obowiązują wobec istnienia państwa polskiego i jego konstytucji. Jednak konsystorz prawosławny już po tych wyrokach dalej rozwiązuje małżeństwa katolickie, jak np. małżeństwo Stanisława i Izabeli Dobruckich (12. 11. 1928 r. № 3940).

Wobec tego zapytujemy Pana Prezesa Rady Ministrów, czy i kiedy zechce wnieść projekt ustawy, przywracającej moc obowiązującą art. 196, 197 i 205 prawa o małżeństwie z r. 1836, tudzież uchylającej art. 190 — 203 tegoż prawa".

* * *

Nie można więc powiedzieć, abyśmy się zupełnie nie bronili, lecz w tych warunkach obrona nasza jest jeszcze za słabą i niedostateczną.

Dopiero wówczas, gdy działacze katoliccy, *zarówno duchowni, jak i świeccy, nie będa ograniczać się do obrony, lecz przejdą do natarcia i zaatakują wroga w jego własnej twierdzy t.j. wśród mas ludowych* — dopiero wówczas będzie można mówić o należytej aktywności katolików w Polsce.

Twierdzą panów Czapińskich, Putków, Langerów, Kalinowskich, Woźnickich, et tutti quanti, ich podstawą operacyjną, źródłem ich wpływów i potęgi — są obałamucone przez nich i demagogicznie eksploatowane — masy chłopskie i robotnicze. One ich wysłały do parlamentu, ale one nie zdają sobie należycie sprawy,co ich wybrańcy w tym parlamencie robią. Trzeba te masy uświadomić, aby zrozumiały, w czyje ręce wpadły, ale równocześnie *trzeba im dać ochronę ich słusznych interesów zawodowych.* Bez tego katolicy nie uzyskają wpływu na lud.

Na tym haśle: „zasady moralne i sprawiedliwość społeczna" opiera się działalność ruchu chrześcijańsko - społecznego. Ale ruch ten posiada zamało oddźwięku i zrozumienia w szerokich sferach inteligencji katolickiej.

Dlatego też wpływ na lud uzyskują coraz bardziej ludzie lewicy, typy pozbawione zasad moralnych, nie liczące się z żadnymi skrupułami, zwalczające w sposób podstępny i nikczemny, ale trzeba to przyznać skuteczny — Kościół i religję.

Na uwagę zasługuje ich metoda. Najpierw wysunęli hasło, że religja jest rzeczą prywatną i oni nie zamierzają jej zwalczać, jako przejawów czysto osobistych—i hasło to zdołali w dużej mierze zaszczepić w masach. Potem przyszła kolej na walkę „z rozpolitykowaniem kleru". I tu walka w dużej mierze powiodła się lewicy. Każdy uważny obserwator stosunków w Polsce wie, że w r 1928 duchowieństwo znacznie mniejszymi rozporządza wpływami na terenie społecznym i politycznym, aniżeli dajmy na to w r. 1921, czy 22. Stwierdzamy fakt.

Po częściowym zrealizowaniu swych dwóch haseł, że się tak wyrazimy — przygotowawczych — zaczęli zdejmować panowie z lewicy maskę ze swego oblicza i nakładać rynsztunek wojenny, przygotowywując się do decydującego spotkania. I wówczas z pod osłonek „liberalizmu", i „wolnomyślności" zaczęły ukazywać się oblicza tryglodytów moralnych, ziejących dziką nienawiścią przeciwko wszystkiemu co katolickie, gotowych odebrać wszystko Kościołowi, a oddać choćby żydom i ukraińcom, byleby tylko zaspokoić swój bezecny szał nienawiści.

Moment ten powinien być wykorzystany przez poważne sfery katolickie do zainicjowania daleko idącej akcji uświadamiającej wśród mas ludowych. Akcja ta, jak już zaznaczyliśmy winna mieć charakter katolicko-społeczny *(socjalny)*, gdyż tylko taka akcja da trwałe owoce.

A czasu niema dużo... Za pięć minut dwunasta!

St. K — ski.

Co sądzić o strajku?

I.

Życiem gospodarczem naszego kraju wstrząsają od czasu do czasu tu i ówdzie wybuchłe strajki.

Wieść o tych strajkach rozmaicie jest w opinji społecznej przyjmowana.

Poszczególny śmiertelnik stawia sobie pytanie, w jakiej mierze ten czy ów strajk będzie dla mnie dokuczliwy, jak on wpłynie na bieg moich spraw zawodowych, względnie moich interesów gospodarczych. Jeśli fale strajku nie podmywają moich pozycji gospodarczych—mogą iść naprzód, nie troszcząc

się o to, jakie straty materjalne i moralne wyrządzi bliźnim moim to groźne, zbiorowe zawieszenie pracy. Nasze zacne społeczeństwo katolickie w znakomitej mierze odsunięte od wpływu na życie państwowe, gospodarcze i socjalne każdą wiadomość o strajku przyjmuje z lękiem i konsternacją—a gdy te ustaną—z oburzeniem na próżniactwo robotników, ich wygórowane żądania, brak ofiary, poświęcenia, patrjotyzmu. Ferujemy wyroki szybko—surowe, bezapelacyjne.

Wszędzie widzimy zakusy bolszewickie, rękę niemiecką, masońską... słowem strajk wyprowadza nas z równowagi i miłego „świętego spokoju".

A jednak, śmiem twierdzić, reakcja społeczności katolickiej i opinji katolickiej na strajk wychodzić winna z innych założeń— i podążać innemi drogami. Jeśli katolicy zainteresują się bardziej naszem życiem gospodarczem i socjalnem, jeśli poza znajomością zasad życia gospodarczego, będą mieli nieco więcej wiedzy społeczno-chrześcijańskiej, wówczas inaczej będą patrzeć i oceniać przejawy życia gospodarczego i socjalnego. Ale my właśnie w obawie o to, aby nasze zasady katolickie nie zostały na szwank narażone uciekamy od tych praktycznych warsztatów i życia — a uciekając od życia, wyrzekając się ambicji pokierowania życiem po katolicku, zawsze będziemy w ogonie tego życia, które nam gotuje liczne niespodzianki—wobec których stajemy bezradni. Daj Boże, oby ten okres braku wpływów katolickich na życie publiczne szybko minął. Minie on za Bożą pomocą wtedy, gdy świadomi swej godności katolików, nabierzemy zdrowej ambicji walki o respekt dla zasad katolickich na wszystkich placówkach życia polskiego.

Aby to zadanie wypełnić trzeba zadać sobie trud śledzenia doktryny katolicko-społecznej, mieć dobrą wolę i chęć pracy społecznej w duchu katolickim a przedewszystkiem zerwać z lękiem i fałszywą pokorą. Winniśmy o tem pamiętać, że pracując uczciwie dla chwały Bożej, mamy za sobą pomoc Bożą i nie na własne siły jesteśmy zdani. Jeśli ponadto akcja nasza będzie rozumną, roztropną — niewątpliwie mieć będziemy za sobą liczne rzesze ludzi dobrej woli. Tych ludzi dobrej woli jest dużo—trzeba tylko umieć do nich trafić.

Pozwoliłem sobie tych kilka słów podać w tym celu, abyśmy mieli większą wiarę w dyskonto naszych wpływów, a dy-

skontować nasze wpływy winniśmy przy każdej sposobności. Jeśli wybrałem za temat mego artykułu zagadnienie strajku, to chodziło mi o to, abyśmy mogli sobie powiedzieć śmiało, że i my katolicy mamy na tę kwestję swój punkt patrzenia i my jesteśmy uzdolnieni i powołani do tego, aby zatargi społeczne regulować w imię zasady sprawiedliwości i miłości. I dlatego na sygnał strajku naszym zadaniem zorjentować opinję o nim po katolicku i to będzie bardzo dużo, gdyż wiemy bardzo dobrze, że obydwu stronom stanowczo zależy na poparciu opinji publicznej. Zanim jednak przyjdę do oceny strajku z punktu widzenia gospodarczego i moralnego chciałbym rzucić na temat tego zagadnienia kilka uwag ogólnych, a znaczeniu ekonomicznemu i moralnemu strajków poświęcić uwagi końcowe.

* * *

Każdy z nas w strajku widzi zaprzestanie pracy. Nie jest to jednak niezgłoszenie się do pracy bezcelowe, za tą bezczynnością kryje się jakiś cel, jakiś sens akcji strajkowej. Robotnicy strajkują—nie dosyć na tem, niedopuszczają innych robotników do pracy — wynika stąd jasno, że strajkiem chcą zadać pracodawcy straty — nieraz bardzo dotkliwe. Zadanie jednak tych strat nie jest bezcelowe. Straty, na jakie strajk naraża pracodawcę mają go skłonić do uwzględnienia żądań robotników, pracowników.

Żądania te są najrozmaitsze, bądź to obrona przed pogorszeniem warunków pracy, bądź też walka o poprawę zarobku albo okazanie solidarności i poparcia robotników strajkujących w innych zakładach przemysłowych i t. p. Są najrozmaitsze żądania strajkowe i rozmaite rodzaje strajków np. strajk generalny, strajk częściowy, strajk włoski (robotnicy zgłaszają się do pracy, lecz nie pracują lub pracują tak powolnie, iż uniemożliwiają normalny bieg pracy danego przedsiębiorstwa).

Nie od rzeczy będzie rzucić okiem wstecz i zajrzeć do historji strajków. W starożytności strajków nie było. Warunki ówczesne gospodarcze, społeczne i prawne nie stworzyły dogodnego podłoża dla strajków. Skupiać się w zrzeszenia społeczne, zawodowe, przedsiębrać zorganizowaną akcję samoobrony społecznej może ten, komu na to prawo zezwala, człowiek wolny. Dzieje starożytne sygnalizowały bunty niewolników — były to jednak bunty, a nie pokojowa akcja strajkowa W średnio-

wieczu strajki były rzadkie. Wpływały na to różne czynniki. A więc czynnik gospodarczy: system produkcji. Mały warsztat (rzemiosła) nie tak podatny do akcji strajkowej, jak duża, ludna fabryka. Ten mały, średniowieczny warsztat pracy skupiał przy sobie majstra, czeladnika i ucznia. Wspólna wiara łagodziła chwilowe nieporozumienia, tembardziej, że nie było tak wielkich sprzeczności interesów, ani socjalnych nierówności. Każdy uczeń wiedział, że po pewnym czasie zostanie czeladnikiem, a czeladnik majstrem. W tych czasach katolicyzm głęboko przenikał w życie społeczne, a teorja walki klasowej znaną nie była. Od XVI wieku (reformacja, indywidualizm religijny) strajki pojawiają się speradycznie w formie b. gwałtownej, czemu nie możemy się dziwić—akcja ta nie była dobrze rozplanowana, była silnym odruchem ludzi materjalnie krzywdzonych. Gwałtowność tych strajków spotykała się z silną reakcją władzy państwowej, co znajdowało uzasadnienie w tem, że władza państwowa ingerowała w ówczesne życie gospodarcze, brała udział w ustalaniu warunków pracy, przeto strajk, pomijając ekscesy mu towarzyszące (z tego względu też interesujący władzę) był akcją antypaństwową. Dopiero wiek XIX, wiek liberalizmu i kapitalizmu, stworzył podłoże dogodne dla rozwoju strajków. Zasada wolności, obłudnie zresztą głoszona, wytworzyła sytuację, w której strajk musiał uzyskać prawo obywatelstwa.

Charakterystyczną i niezmiernie ciekawą ewolucję strajku w wieku XIX i XX podamy w artykule następnym, poczem przejdziemy do oceny strajku w świetle teorji liberalnej, socjalistycznej i katolicko-społecznej.

Bogumił Budka.

Chrześcijański Uniwersytet Robotniczy.

Wiemy wszyscy, co to jest t. zw. „T. U. R."—Towarzystwo Uniwersytetów Robotniczych — jedna z najsilniejszych w Polsce organizacyj kulturalno-oświatowych, wychowująca młodzież robotniczą w duchu zasad socjal-komunistycznych za pieniądze samorządów miejskich.

Spotykaliśmy się niewątpliwie nieraz, zwłaszcza w miasteczkach prowincjonalnych z jaskrawymi afiszami, zaprasza-

jącymi młodzież robotniczą obojga płci na kursa „oświatowe" lub „samokształceniowe" na temat dajmy na to: „Trzeba raz skończyć z bredniami i bajkami biblji. Człowiek pochodzi od małpy. Zasady nauki Darwina", albo też — „Systematyczny kurs doktryny socjalistycznej" i t. p. I niejeden katolik myślał z przerażeniem, co będzie z młodym dorastającym pokoleniem, gdy przez kraj przejdzie fala takiej propagandy, zniesławiającej systematycznie i pod płaszczykiem wiedzy, wszystko co katolickie i szerzącej nienawiść klasową.

I podnosiły się nieraz w pismach, czy na zebraniach protesty przeciwko działalności destrukcyjnej i demoralizującej „Turu", protesty bezsilne i do żadnych realnych wyników nie prowadzące. Propagandy bowiem żadnej nie można zwalczyć biadaniem, tylko kontrpropagandą w innym, właściwym kierunku.

I znalazło się wreszcie grono działaczy katolicko-społecznych, którzy powiedzieli sobie, że szkodliwej działalności „Turu" przeciwstawić należy placówkę równie realną, broń skutecznie działającą w dzisiejszych warunkach. Na uderzenie miecza należy odpowiedzić po męsku—nie płaczem i jękiem, lecz potężnym ciosem również miecza z dobrej, hartownej stali.

W ten sposób powstał *Chrześcijański Uniwersytet Robotniczy*, którego Statut został zarejestrowany przez Komisarjat Rządu m. st. Warszawy w dn. 7. XII. 1928 pod № 586.

Poświęcimy kilka słów tej nowej, a tak koniecznej i ważnej instytucji.

Celem Chrześcijańskiego Uniwersytetu Robotniczego, który dla skrótu będziemy nazywać *Ch. U. R-em* — jest trwała i systematyczna akcja kulturalno-oświatowa w duchu katolickim, narodowym i społecznym oraz popieranie wychowania fizycznego wśród warstw robotniczych i włościańskich, a zwłaszcza wśród młodego pokolenia tych warstw.

Do celu tego „Chur" dąży, jak głosi Statut, zapomocą:

1) urządzania wykładów, odczytów i zebrań dyskusyjnych.

2) organizowania kursów ogólnokształcących i zawodowych.

3) zakładania i prowadzenia bibljotek, czytelni, poradni dla samouków, muzeów, wystaw i t. p.

4) organizowania zebrań i wycieczek naukowych.

5) urządzania przedstawień teatralnych, kinowych, koncertów ludowych.

6) popierania rozwoju fizycznego młodzieży przez tworzenie kół sportowych, organizowanie ćwiczeń gimnastycznych i t. p.

7) budowy domów ludowych.

8) prowadzenia wydawnictw jednorazowych i perjodycznych.

Stowarzyszenie jest osobą prawną, działalnością swą obejmuje Rzeczpospolitę Polską; siedzibą Zarządu Głównego jest Warszawa.

Członkowie „Churu" dzielą się na wspierających i rzeczywistych. Członkiem wspierającym może zostać każdy, kto na rzecz „Churu" wniesie jednorazowo opłatę 100 zł. Członkiem rzeczywistym — osoba, która złożyła odpowiednią deklarację i została przyjęta przez Zarząd koła.

Fundusze organizacji składają się z miesięcznych składek, z ofiar zapisów i darowizn i z wszelkich innych wpływów nadzwyczajnych.

Siedziba tymczasowego Zarządu Głównego „Churu" mieści się narazie przy ul. Żórawiej 9 m. 14, tam też należy się zwracać o wszelkie informacje i instrukcje.

Każdy działacz katolicko-społeczny może założyć „Chur" w swojej miejscowości za upoważnieniem Zarządu Głównego (art. 14 Statutu). Minimum członków, tworzących koło prowincjonalne, wynosi 7 osób. I nie potrzeba więcej. Chodzi o jakość, a nie o ilość. Chodzi o to, aby koło „Churu" zdołało zorganizować według instrukcji Centrali systematyczne, i odpowiednie wykłady w lokalu, uczęszczanym przez warstwy pracujące, a szczególnie przez pracującą młodzież, żeby zdołało skupić w tym lokalu szersze masy i przyzwyczaić je do systematycznej pracy kulturalno-oświatowej, aby znalazło dla nich odpowiednie atrakcje i sposoby, któreby je związały ściśle z tym typem pracy.

Zadanie nie jest tak trudne, ale wymagające nietylko dobrej woli, ale i zrozumienia typu nowoczesnej pracy społecznej.

Oczywiście „Chur" musi korzystać z tych środowisk i lokalów, w których są już zgromadzone masy robotnicze o poglądach katolickich, a więc w pierwszym rzędzie ze Stowarzyszeń Robotników Chrześcijańskich, Chrześcijańskich Zwiazków Zawodowych, Lig Katolickich i t. d. „Chur" nie jest nową, jeszcze

jedną, organizacją katolicką, lecz narzędziem kontrolujących działalność kulturalno - oświatową ruchu katolicko - społecznego.

Należy wyrazić wielką radość, że powstała wreszcie tego rodzaju placówka, która może się stać, jeżeli szersze sfery inteligencji katolickiej, oraz władze samorządowe nie odmówią jej swojej pomocy, pokaźnym narzędziem uświadomienia mas ludowych w kierunku katolickim, patryjotycznym i socjalnym.

Jeżeli chodzi o stan obecny „Churu" — to nie ogranicza się on tylko do zalegalizowanego Statutu. Mniejsze, lub większe zaczątki tej organizacji istnieją już w szeregu miejscowościach, a w szczególności: w Warszawie, Wilnie, Łodzi, Krakowie, Zawierciu, Częstochowie, Włocławku, Mławie, Pruszkowie, Grodnie i t. d.

Tylko trochę energji, a cała Polska pokryje się stalową siecią „Churów". *S. J. K.*

Stara piosenka.

Stara piosenka, luba piosenka,
Stłumionem echem w przestworzu drży,
Zbolałe serce tęsknotą nęka,
I w duszy dawne obudza sny...

Ponad zmroczone leci kurhany,
Hen! w niezmierzony, ponury świat...
Niesie ją lekko wiatr rozełkany,
Starą piosenkę z minionych lat...

O tym wojaku, co w obce strony
Szedł, by za wolność Polski lać krew;
Choć padł, śmiertelną kulą rażony,
W oczach miał ogień, na ustach śpiew!...

Stara piosenka, luba piosenka,
Stłumionem echem w przestworzu drży,
Zbolałą duszę tęsknotą nęka,
I z oczu gorzkie wyciska łzy...

Bronisław Wiszniewski.

DZIAŁ LITERACKO-OPISOWY.

Klasztor P.P. Benedyktynek w Staniątkach

(w 700 letnią rocznicę).

Na południowo-wschód od Krakowa, niedaleko Niepołomskiej puszczy, leży wieś Staniątki, z pierwszym w Polsce klasztorem Benedyktynek, sięgającym początków XIII-go wieku. Miejscowość ta, uświęcona pobytem św. Wojciecha, otrzymała na jego pamiątkę nazwę „Staniątki". Oto co mówi podanie:

W r. 995, zdążając z Węgier do Krakowa, zatrzymał się tu święty Biskup dla odpoczynku i miał wyrzec te pamiętne słowa: „Udielamy tady staniatky" (zróbmy tu sobie odpoczynek). Stanąwszy tu rzeczywiście nauczał lud prawd wiary św., a potem zatknął krzyż w ziemi. Lud na pamiątkę świętego Męża nazwał tę miejscowość „Staniątki". Krzyż stoi po dziś dzień w polu, na miejscu, na którem miał kazać św. Wojciech i w wielkiej jest czci u tamecznego ludu.

Benedyktyni byli w Polsce od zarania jej dziejów: papież Jan XIII, na prośbę Mieczysława I i Dąbrówki, przysłał był 8-iu Benedyktynów Włochów, z których jeden, Prochorjusz, został 1-szym biskupem krakowskim. Nie było jednak jeszcze klasztoru żeńskiego: Staniątki miały być pierwszym.

Fundatorem jego jest Klemens hrabia na Ruszczy i Klimuntowie, kasztelan krakowski, z możnego rodu Jaxów herbu Gryf, oraz jego małżonka Recława cz. Rościsława, córka kasztelana opolskiego, z rodu ruskich książąt Rościsławiczów.

Pobożne i dostojne to stadło miało jedyną córkę imieniem Wizennę, „która w młodości swey w boiaźni Bożey świętobliwie postępowała, a w Stan Małżeński, urody będąc piękney, gdy ią chciano wydać, zezwolić nie chciała". Stryj jej bowiem, Wierzbięta, rodzony brat kasztelana Klemensa, był benedyktynem na Tyńcu; zapalił on młodziuchną bratanicę taką miłością Oblubieńca dziewic, iż postanowiła poświęcić Mu się w zakonie i być pierwszą Benedyktynką w Polsce. Zacni rodzice nie opierali się córce, lecz zasięgnąwszy rady poważnych i doświadczonych mężów, między innymi i Andrzeja, biskupa płockiego, młodszego

brata hrabiego Klemensa, postanowili oddać ją na służbę Bogu i ufundować klasztor dla zakonnych panien, oddając równocześnie wszystkie swoje majętności na jego uposażenie, t. j. około 100 wsi, zachowując sobie tylko jedną, Niemodlin, w dożywocie; i ta po ich śmierci miała przejść na własność klasztoru. Pierwszy kamień położono w 1216 r., kościół zaś został poświęcony pod wezwaniem św. Wojciecha w r. 1228, w niedzielę po rocznicy śmierci ścięcia św. Jana, przez Wisława, biskupa krakowskiego. Zatem w roku bieżącym 700 lat upływa od tej konsekracji. Kronika klasztorna tak opowiada to założenie:

„Kiedy już postanowił nieodmiennie hr. Klemens fundować dla Wizenny klasztor, wyjechawszy w bratem swoim Andrzejem na Górę Staniątecką „Winnicą” zwaną, uczynili rozporządzenie, iż miejsce będzie piękne, wesołe, aura zdrowa, i kazali wielości robotników materjały tak w drzewach, jako i kamieniach zgromadzać, fundamenta wprzód na kościół, a potem i klasztor zakładać; i gdy co żyło, chwyciło się pracowicie i usilnie roboty, rzecz cudowna: w nocy, bez ludzkiej pomocy, nawet i widzenia, wszystko zostało sprowadzone na to miejsce, mniej pozorne, gdzie teraz klasztor stoi. Poznali wszyscy, że to miejsce, a nie od ludzi wybrane, Pan Bóg sobie upodobał, i na nim bez oporu kościół i klasztor fundować kazał, ale nie bez drugiego cudu: Bo to miejsce było nazwane Chrościem, dla zarośli i bagnisk, nie tylko ludziom, ale i bydlętom nieprzystępne, a to dla wielości płazów. Przyleciało stado bocianie (sic!), które wybierając i dusząc owe gady, odnosiły na puste miejsca, a oczyściwszy owo miejsce, odleciały”. Tyle kronika klasztorna.

Starożytny obraz, przechowywany w Staniątkach, przedstawia to przenoszenie fundamentów w taki sposób, że zakonnice niosą na ramionach kościół z Góry Staniąteckiej, upatrując miejsce w dolinie, gdzie go postawić. Fundatorowie Klemens i Recława klęczą z boku i przypatrują się temu pochodowi. Obok mnóstwo bocianów oczyszcza okolicę od płazów.

Tradycja ta tłómaczy, dlaczego klasztor Staniątecki, wbrew zasadzie benedyktyńskiej: „Benedictus colles, Bernardus valles amabat” [1]), stoi nie na pobliskiem wzgórzu lesistem, z którego uroczy roztacza się widok aż ku Krakowu, lecz w nizinie i dla-

---

[1]) **„Benedykt wzgórza, Bernard (Cystersi) doliny lubił“.**

czego sąsiednia wieś nazywa się Chroście, chociaż tam dziś już żadnych zarośli niema.

Przyszłość wykazała, jak opatrznościowe było to położenie klasztoru: w czasie kilkakrotnych napadów tatarskich, klasztor za lasami ukryty łatwiej uszedł ich oka, jak to niżej zobaczymy; a już najszczególniej w czasie wojny światowej w 1914 r., gdy przez 8 dni bombardowany uległ wielkiemu uszkodzeniu. Cóżby się było z nim stało, gdyby był zbudowany na wzniesionej górze, a nieprzyjaciel zrobił sobie z niego obserwacyjną stację? Zapewne nie pozostałby z niego kamień na kamieniu.

Klemens z Ruszczy i Recława mieli pociechę widzieć kościół i klasztor wykończony (budowniczym był Wierzbięta, biegły architekt i niemniej uczony i pobożny mnich), córkę swoją pierwszą ksienią staniątecką, a zgromadzenie zakonne pięknie rozkwitające; zewsząd bowiem garnęły się pobożne i urodzeniem dostojne dziewice, pragnące służyć Bogu w zakonie. Wierzbięta został przeznaczony przez swego opata na przełożonego (praepositus) do Staniątek, nie tylko dla opiekowania się nową fundacją, ale jeszcze bardziej dla zaszczepienia i utwierdzenia życia zakonnego w młodem Zgromadzeniu. Reguły na polski język tłomaczonej wówczas jeszcze nie było, ani klasztoru Benedyktynek nigdzie w Polsce; życie zakonne w Staniątkach mogło się zatem rozwijać jedynie na podstawie ustnych wykładów, wyjaśnień i przykładów osób już wyćwiczonych w duchu benedyktyńskim. Uczył zatem Wierzbięta bratanicę i jej zakonne siostry sposobu odprawiania kanonicznych pacierzy, ceremonji chórowych i śpiewu gregorjańskiego, lecz szczególnie pracował nad wyrobieniem w Wizennie wzoru doskonałej zakonnicy, licząc na to, że ona, jako pierwsza ksieni benedyktyńska na polskiej ziemi, musi się stać wzorem dla następnych pokoleń zakonnych. Wierzbięta został później opatem na Tyńcu. Dla jego zasług około fundacji Staniąteckiego klasztoru został potem zaliczony do jego fundatorów.

Kilka lat minęło; Bóg chciał widocznie doświadczyć stałości pp. kasztelaństwa Krakowskich oraz cudem zatwierdzić świętość ich córki, a też okazać, jak miłą Mu była nowa fundacja.

„Kiedy Klemens i Rościsława, w podeszłym będąc wieku, dziedzica imienia swego i fortuny już nie oczekiwali, dał im

Pan Wszechmogący syna. Czym będąc niepomału zafrasowani, dali o tym znać Xieni, córce swojej, i jakieby imię synowi na chrzcie św. dać, onej się radzili". Wizennę wieść ta strwożyła, bała się bowiem odbierać to, co raz na chwałę Bożą zostało ofiarowane. Udała się zatem w tej trosce swojej wedle zwyczaju do chóru, a upadłszy na kolana, modliła się gorąco, aby Bóg tą sprawą tak pokierował, by żadna obraza Boża stąd nie powstała. Wtem wzrok jej padł na wielki krucyfiks, umieszczony na łuku pod sufitem, naprzeciw kraty chórowej; Chrystus na krzyżu rozpięty zdawał się miłosiernem okiem spoglądać na Oblubienicę swoją, i dał się słyszeć głos z krzyża: „Dajcie mu imię Dojutrek". Zrozumiała Wizenna znaczenie tych słów „a pokrzepiona na sercu i dziwnie uweselona" przemówieniem Ukrzyżowanego Zbawiciela, wysłała do rodziców posłańca z poleceniem, aby braciszka nazwano „Dojutrkiem". Zdziwili się nieco rodzice tak niezwykłem imieniem, lecz ufni w świętobliwość córki, uczynili jak kazała. Na drugi dzień po chrzcie dziecię zaniemogło i wieczorem umarło. „Ten Bóg synaczka onego do chwały Niebieskiej powołał, a rodziców jego w pobożnem przedsięwzięciu umocnił; za co błogosławiona Rościsława Panu dziękując, radowała się, iż córkę jej Wizennę duchem proroczym obdarzyć raczył.

Dziecinę pochowano w Staniąteckim kościele. Jaroszewicz, Franciszkanin z XVIII w. pisze o tem w znanem dziele „Matka Świętych Polska": „A on święty Dojutrek... leży w habiciku benedyktyńskim, przy wielkim ołtarzu w cyprysowej trumience, do którego grobku jest okienko i jeszcze są znaki tak ciałeczka jako i pokrycia, com sam widział". (1767 r.).

Nadszedł rok 1241, „gdy dla grzechów ludzkich Tatarowie do Polski w wielkim gminie, za czasów Bolesława Wstydliwego, króla polskiego, wtargnęli, i oną wzdłuż i wszerz mieczem wojowali i ogniem palili". Klemens z Ruszczy, który po śmierci syna pobożne i dobrym uczynkom oddane prowadził życie, chwycił po raz ostatni za broń: „Zawrzała gorąca krew miłującego Boga i ojczyznę kasztelana; rycerski duch zerwał się na ratunek utrapionego ludu, i jak pisze kronika klasztorna, „na skrzydłach herbownego Gryffa" postanowił „lecieć na dzikie pohańce". Zebrawszy znaczny oddział, razem z wojewodą krakowskim wyruszył pod Chmielnik.

Wybierając się na wojnę, wstąpił do ukochanych Staniątek. Rzewnem było pożegnanie ojca z córką, przewidującą śmierć jego. Zalewała się łzami Wizenna, gdy ojciec żegnając się, oddał jej ostatnią swoją posiadłość, wieś Niemodlin, i prosił o złożenie, w razie śmierci, ciała jego w przygotowanym grobie. Niebawem odjechał i już go nie miała świętobliwa ksieni oglądać żywego: cięty mieczem w głowę, padł pod Chmielnikiem dnia 18 marca 1241 roku[1]). Martwe jego zwłoki przewieziono do Staniątek i złożono w przeznaczonym grobie z wielką czcią, jakoby męczennika, gdyż papież Grzegorz IX nadał był odpust krucjaty wszystkim, którzy padną w wojnie z Tatarami[2])

Pohańcy z pod Chmielnika pociągnęli dalej, spalili Kraków, a rozproszywszy się po okolicy, zapędzili się do Staniątek. Błogosławiona Wizenna wyjęła obraz N. P. Bolesnej z ołtarza, i w procesji ze śpiewem i łzami, obnosiła go po klasztorze. I stał się cud: „kościół i klasztor zmienił się w oczach Tatarów w gęsty las, a śpiew zakonnic wydał im się śpiewem ptaków. Rozzłoszczeni cofnęli się, alić patrzą z daleka, a tu znowu klasztor stoi. Trzy razy wracali i trzy razy to samo się powtarzało: wreszcie klnąc i złorzecząc odjechali". Na pamiątkę tego cudu ustanowiono od tej pory codzienny rano na cześć Najśw. Panny śpiew: „Ave Maria, virgo serena".

Gdy już ucichły trochę nieszczęścia i klęski po Tatarach, zajęła się święta Ksieni utwierdzeniem ducha zakonnego w zgromadzeniu i własnym postępem w doskonałości. Niemniej potrzeba było zająć się uporządkowaniem majątku i zabezpieczeniem dóbr, darowanym klasztorowi tak przez Klemensa, jak i braci jego: Andrzeja, biskupa Płockiego, Janka i syna tegoż Sulisława. Za staraniem Wierzbięty, naonczas już opata na Tyńcu, ojciec św. Innocenty IV w r. 1253 wydał uroczystą bullę, zatwierdzającą fundację, dobra i przywileje klasztoru staniąteckiego z tytułem ksieni dla Wizenny i jej następczyń, i biorąc je „pod Piotra św. i naszą obronę".

---

[1]) Dotychczas w Staniątkach obchodzi się solennie rocznica jego zgonu, dnia 18 marca, i tytułuje się go mianem „Błogosławionego".

[2]) Kiedy w roku 1793 po raz ostatni oglądano szczątki Klemensa, jeszcze widoczne było na czaszce ciecie szabli tatarskiej.

Od śmierci bohaterskiej małżonka, Recława osiadła przy córce w klasztorze i umarła tam świątobliwie w 1260 r.

Wizenna tymczasem wielkim krokiem dążyła do świętości: była „chodzącym wzorem cnót i uosobieniem Reguły", tak że gdy która z zakonnic na nią spojrzała, z jej świętobliwości poznawała własne swoje niedoskonałości, pobudzając się do naśladowania jej cnót. „Szczególnie umiłowała Wizenna (jak na prawdziwą Benedyktynkę przystało) „divinum officium", odmawiane i śpiewane w chórze zakonnym. Mimo licznych zajęć, nie opuściła nigdy wspólnego śpiewania; na Jutrznię w nocy wstawała o godzinę wcześniej, by się na osobności pomodlić przed Najśw. Sakramentem, a potem sama obchodziła cele, budząc Siostry na Matutinum"...

O ile surową była dla siebie, o tyle dużo miała miłości i łaskawości dla Sióstr zakonnych i wogóle dla wszystkich. Kronika tak pisze o niej: „Łączyła łagodność kochającej matki z surowością groźnej dla występnych mistrzyni; to też Siostry, bojąc się jej, kochały, a kochając, bały".

Podeszła w leciech, ustaliwszy porządek życia zakonnego wedle Reguły św. Patryarchy Benedykta, niestrudzona pracownica winnicy Pańskiej patrzała rozweselonem okiem na obfite żniwo swej półwiekowej pracy: „Sto zakonnych Siostr otaczało ją miłością i czcią, jako najukochańszą Matkę Mistrzynię i Fundatorkę; lecz ona z tęsknotą wyrywała się do niebieskiej Ojczyzny... Zawsze miała w zwyczaju gotować się do śmierci, a gdy dawała jałmużny, dołączała zawsze słowa: „O śmierć szczęśliwą".

Nadszedł wreszcie dzień pożądany; z niewypowiedzianym wyrazem radości powtarzała słowa psalmu 121-go: „Ucieszyłam się z tego, co mi powiedziano: Pójdziemy do domu Pańskiego." Zakonne Siostry płacząc otaczały łoże, żegnając odchodzącą Matkę. Ona z największą miłością przyjęła Sakramenta św. potem czule żegnała i błogosławiła swe duchowne córki, zalecając wierne zachowanie Reguły, podniosłość chwały Bożej w chórze i miłość wzajemną. Wreszcie spokojnie oddała Bogu ducha dnia 28 grudnia 1289 roku.

Pochowana z wielką czcią obok rodziców w kościele staniąteckim, zasłynąła cudami i zaraz zaczęto ją czcić jako „Błogosławioną". Często nad jej grobem pokazywała się jasność

niebieska, a woń róż, wychodząca z jej relikwji, rozchodziła się po całym klasztorze. Tak zakonnice, jak i lud okoliczny we wszystkich potrzebach uciekał się do jej przyczyny, doznając nieraz cudu; w onych wiekach procedura beatyfikacji i kanonizacji nie była jeszcze ustalona, i nieraz ogólna opinja i cuda starczyły za beatyfikację. To też nie podjęto zrazu starań w Rzymie. Wieki mijały, nieszczęścia i klęski waliły się na Polskę, starania wciąż odkładano na lepsze, spokojniejsze czasy. Wreszcie Ojczyzna nasza zmartwychwstała; starania podjęto na nowo; i jak Kościół niedawno, na podstawie odwiecznej, od niepamiętnych czasów czci, ozdobił tytułem „Błogosławionego" św. biskupa Bogumiła, tak ufamy, że i świętą Ksienię Staniątecką, pierwszą Benedyktynkę na ziemi naszej, ujrzymy niebawem na ołtarzach. (d. c. n.)

Z pamiętnika Kapłana i jego matki.

18 maja.....

Dziś rzekłem mojej matce: „Matko, Bóg mnie wzywa!
Ta żarliwość w mej duszy pobożna i żywa,
Te marzenia o lepszym i o wiecznym świecie,
Któremi na kolanach karmiłaś twe dziecię,
Dziś owoc swój przynoszą, może gorzki, tobie,
Gorzki i dla mnie dzisiaj, ale słodki w grobie!
Wzywają mnie do siebie świątyni podwoje
Chciałbym Bogu poświęcić niewinne dni moje,
Jak kielich, który czysty Bogu się przeznacza.
Niema dla mnie uroku, co świat czcią otacza!
O, niech ciebie nie gniewa ta moja chęć żywa,
Pomyśl trochę —a kiedyś będziesz tak szczęśliwa,
Dumna z tego, co hasłem rozstania się zdaje...
Cóż traci ten, co wiecznie Bogu się oddaje?!
Cóż chcesz więcej dla dziecka, które błaga ciebie
O spokój na tej ziemi i ojczyznę w niebie?
Skromny tytuł kapłana niech ciebie nie wstydzi,
Me serce świetniejszego na ziemi nie widzi!
I któż boskich tajemnic cel dla nas oświeci?
Podzielił On czynności między ziemskie dzieci;

Tym rolę do uprawy, domowe starania,
Tym sławę, a tym żonę, dzieci do kochania,
Tym korzyści doczesne, tym chwałę ich synów,
Innym znowu dał echa od ich własnych czynów!
A dla serc które wiarą karmią się tajemnie:
„Nic nie bierzcie, rzekł, wszystko odzyskacie we Mnie“!

* * *

Ale powiesz:—Jednemu bez miłości w duszy,
W ustroniu, bez rodziny, serce się wysuszy!
— Powiedz raczej, że zwiększy się jego rodzina,
Ubogi mu zastąpi miejsce brata, syna.
Chrystus do serca takie zaszczepił uczucie,
Że każdy, byle cierpiał, obudzi współczucie!
O! nie lękaj się, matko, bym daleki świata,
Zapomniał na twą miłość i na pierwsze lata!
Pan, biorąc mnie do siebie, tobie nie zabiera,
Jego miłość ku wszystkim mą duszę otwiera...
O, święte obowiązki! o związki niewinne!
Przy ołtarzu nie zatrą was imiona inne.
Matko! niech cię nie trwoży ta moja ofiara
Nie patrzaj się tak na mnie, raczej mów, jak Sara:
— Synu! niechaj się w tobie spełni wola Pana!
I błogosław, Jaś twoje uściśnie kolana
. . . .

. . .

26 maja....

Tydzień mija, na wzór Jeftego niegdyś pięknej córy,
Której Pan dni wyliczył, aby między góry
Szłą biedna opłakiwać swoje młode lata,
Matuś za mnie żegnała rozkosz tego świata.
Jak tamta, opłakawszy święty stan dziewiczy
Wróciła dobrowolnie pod nóż ofiarniczy.
I moja biedna matka rzekła w końcu: — „Zgoda“.

. . .

5 lat potem w listopadzie młody kapłan składa Panu Bogu na Jasnej Górze pierwszą Ofiarę Mszy św. Matka pisze w pamiętuiku:

Błogosławcie Pana ze mną wszyscy, jestem teraz matką kapłana. Gdy 24 lat temu syn został mi dany, nie posiadałam się prawie z nadmiaru radości. Patrzałam na niego, wyciągając ręce do kołyski, by zapewnić się, że moje marzenia, przybrane w widome kształty, naprawdę tam spoczywają. Jakżeż odmienna, o ile wyższa radość napełnia dziś moją duszę wzruszeniem nigdy dotąd nie doświadczonym.

Jestem teraz matką kapłana! Rączki tak w tedy malutkie co je tak czule całowałam, dziś są rękami poświęconemi, piastującemi Chleb Żywota. Władze rozumu, które za mojem pośrednictwem światło odbierały, są teraz jedynie służbą Bożą. zajęte. To ciało, które pielęgnowałam, spędzając wiele bezsennych nocy, gdy choroba zniszczeniem mu groziła, będąc sługą duszy kapłana, zużywać się będzie, nawracając grzeszników, pouczając prostaczków, rozdając samegoż P. Jezusa wszystkim, którzy Go szukają.

Skupiony i poważny stał mój syn przy ołtarzu: było coś dostojnego w całej jego postawie; zachwycona tem, com widziała, nie śmiałam się poruszyć. Ujrzałam go na ten czas klękałącego przed Najświętszem Sakramentem—i zdawało mi się, że słyszę jego myśli. Nie mogłam się modlić, wyjąknęłam tylko: Wszechmogący Boże! dziękuję Ci, dziękuję Ci. Ten kapłan by moim. Jego dusza w mojej duszy się rozgrzała. Teraz już nie jest moim, Twoim jest. Zachowaj go od cienia złego. Jest on ze ziemi, ziemski; strzeż go, by nigdy Cię nie obraził. Wszechmogący Boże, kocham Cię! Kocham go i poważam, jest on Twoim kapłanem.

W chwili Komunji św. ministrant zobaczył mnie przystępującą i odmówił „Confiteor", celebrujący obrócił się i podniósł rękę, matce swej udzielając absolucji. Syn mój zapłakał, jak mi się zdaje. Potem wziął puszkę i zbliżył się do mnie. Co za zjednoczenie. Bóg, Jego Matka, Jego kapłan i ja matka kapłana. Czy się modliłam? Nie wiem. Dziwny spokój ogarnął mą duszę, która wezbrała miłością i dziękczynieniem. Mój Bóg i mój syn! Jestem nadto szczęśliwa. Miewałam słodkie dni w życiu, lecz ten jest najszczęśliwszym ze wszystkich. Po

raz pierwszy pojęłam, jak niekończąca się chwila wieczności z Bogiem będzie spędzona.

Nie mogę już dzisiaj pisać więcej. — Niech to wystarczy.

. . . .

O. Aleksander, Pautin.

Z ŻYCIA MŁODZIEŻY KATOLICKIEJ.

Na marginesie sprawy pojedynków.

Korporacje chrześcijańskie zwalczają barbarzyństwo XX wieku.

Ostatnia kwatera naukowa, Warszawskiego Koła Środowiskowego, Zjednoczenia Polskich Akademickich Korporacji Chrześcijańskich, która odbyła się w grudniu w lokalu „Odrodzenia" przy ul. Krak. Przedmieściu 7 — zajmowała się sprawą pojedynków. Jak wiadomo, Z. P. A. K. Ch. łączy w sobie 15 korporacji akademickich, stojących trwardo na gruncie antiduelanckim i rozmieszczonych we wszystkich centrach akademickich Polski (Warszawa, Lwów, Poznań, Wilno, Lublin, Kraków). W skład Warszawskiego Koła Środowiskowego Z. P. A. K. Ch. wchodzą obecnie 3 korporacje: Laudania, Maratonia i Ignitia. Gospodarzem kwatery była P. A. K. Ch. „Maratonia". Przewodniczył zebraniu Kom. Zbigniew Kubec, Prezes K. Maratonia, na sekretarza powołano Kom. Wierzbowskiego (Ignitia).

Po powitaniu, przez prezesa, obecnych na kwaterze gości zabrał głos, uproszony na referenta, przez władze W. K. S. Z. P. A. K. Ch., p. *dr. Stanisław Okęcki, Dyr. Dep. Min. Oświaty* i jeden z czołowych członków, antiduelanckiej **„Ligi Obrony Czci"**.

Szanowny prelegent wygłosił odczyt p. t. „Cel i działalność Ligi Obrony Czci".

Z początku prelegent omawiał stosunek Kościoła do pojedynku. Jako definicję pojedynku przytoczył, określenie Ks. M. Morawskiego T. J., że jest to „kombinacja mężobójstwa z samobójstwem". Życie nie należy do człowieka, ale do Boga,

społeczeństwa i rodziny. Kościół do pojedynków ustosunkował się negatywnie, obciążając, tak biorących w nim udział, jak świadków i lekarzy—ekskomuniką.

W dalszym ciągu, prelegent omówił stosunek prawa do pojedynku i kolizje, niektórych przepisów, w tej dziedzinie, potem zaś przeszedł do historji pojedynków. Istnienie ich wiąże się z kwestją pewnych, średniowiecznych praktyk, w rodzaju sądów Bożych. W rozwoju pojedynków dużą rolę odegrali trubadurzy i ministrele, którzy gloryfikowali, m. in., ten rodzaj zabójstwa. Sama instytucja pojedynku nie jest poparta żadnemi poważne i przesłankami rozumowemi. Zabitym może być tak samo krzywdziciel, jak i pokrzywdzony. Nonsens bije tu w oczy.

Poważniejsi myśliciele ostatnich wieków, nieraz już myśleli nad zlikwidowaniem pojedynku. W związku z tem powstała Liga Antypojedynkowa w Wiedniu a potem „Liga Obrony Czci" we Lwowie. Ta ostatnia przyjęła nazwę nie negatywną (antypojedynkową) ale pozytywną (Obrony Czci). Ma za zadanie nietylko zwalczanie pojedynków, lecz takie zastąpienie ich stałemi sądami honorowymi dla Obrony Czci.

Do wybuchu wojny, lwowska Liga rozpatrzyła przeszło 250 spraw honorowych, w tem wiele spraw zgłoszonych przez ludzi nie należących do Ligi. Obecnie Liga zakłada koło w stolicy. Władze koła warszawskiego nie zostały dotychczas ukonstytuowane. Statut zatwierdzony już jest przez władze.

Prelegent, w głównych zarysach, referuje ważniejsze punkty statutu L. O. C. Ciekawym momentem statutu jest równouprawnienie kobiet w kwestjach honoru.

Do ligi może należeć każdy pełnoletni obywatel (obywatelka) o nieposzlakowanej uczciwości. Liga wyłania sąd honorowy na lat 3. Sąd ten rozpatruje wszelkie zatargi honorowe.

Pozatem Liga organizuje odczyty autiduelanckie.

Po zakończeniu referatu, liczni mówcy, biorący udział w dyskusji podkreślali doniosły fakt powstania autiduelanckiej *Ligi Obrony Czci* i stwierdzali, że obecnie, korporacjec hrześcijańskie, oparte o organizacje starszego społeczeństwa i bratnie organizacje akademickie, będą mogły w sposób bardziej intensywny podkreślić swą walkę z pojedynkiem, tym: „honorowym mordem". Odpowiadając na stawiane w dyskusji zagadnienia, prelegent wyraził swe zadowo-

lenie, że istnieją organizacje akademickie, zwalczające pojedynek. Po odśpiewaniu „Gaudeamus", zebrani rozeszli się do domów, pokrzepieni do dalszej, wytrwałej walki z szkodliwym zabytkiem barbarzyńskich czasów.

J. Sobolewski.

SPRAWOZDANIA I RECENZJE.

Katolicki Kongres Kinematograficzny w Paryżu. W dniach od 6 do 8 listopada r. ub. włącznie w Paryżu odbywał się krajowy Katolicki Kongres Kinematograficzny, który jest jednym z licznych dowodów, że wśród katolików francuskich istnieje żywe zrozumienie, czem jest w dobie bieżącej kino, i że krzewi się obecnie pośród nich przeświadczenie o potrzebie opanowania tego cudownego zaiste wynalazku przez ideologię katolicką.

Na popołudniowem posiedzeniu kongresowem w dniu 6 listopada r. ub. pierwszy przemawiał ks. kanonik Simonin. Mówca ten rzucił myśl utworzenia „Federacji Kierowników Katolickich Sal Kinematograficznych". Organizacja ta, zdaniem projektodawcy, służyłaby trojakiemu celowi: po pierwsze śledziłaby ona zamierzenia instytucyj oficjalnych oraz powodowałaby tam dojście do głosu katolików; po drugie pomagałaby kierownikom owym, starając się o otrzymanie od wytwórców najlepszych filmów na najlepszych warunkach; po trzecie wreszcie powodowałaby zaprowadzenie kina w różnych stowarzyszeniach bądź, jako środka popularno-kształcącego, bądź też, jako środka rozrywkowego. Uczestnicy kongresu przyjęli ten plan, powierzając specjalnej komisji opracowanie statutu projektowanej federacji.

Drugą część tegoż posiedzenia poświęcono sprawozdaniom z prac dokonanych. Wśród sprawozdawców znaleźli się: ks. kanonik Brohée, który przedstawił, jakie zbawienne skutki przynosi w Belgji praca „Katolickiej Centrali Filmowej", ks. Larde, ks. Maufroy, ks. Leanu, którzy złożyli kolejno sprawę z działalności organizacyj tego rodzaju w diecezjach: Amiens, Lille, Rouen; i inni.

Wieczorne posiedzenie tego samego dnia po przemówieniu powitalnem przewodniczącego, p. Hébrard'a, wypełniła konferenja ks. kanonika Reymond'a. Osnowę jej stanowiło omówienie możliwości wychowawczych kinematografji oraz wpływu, jaki zdobyła Filmja*) we Francji, a na zakończenie mówca zwrócił się do obecnych przedstawicieli społeczeństwa katolickiego z wezwaniem, iżby z kina katolicy jaknajprędzej uczynili narzędzie, służące do szerzenia wzniosłych haseł nauki Chrystusowej. W trakcie konferencji ks. kanonik Reymond wykazał, co za niebezpieczeństwa płynąć mogą

---

*) Kinematografja.

z kinematografji dla religji, ojczyzny, porządku społecznego, o ile dostanie się ona pod wpływ czynników radykalnych, natomiast na przykładzie kilku pięknych filmów przedstawił, w jaki sposób narzędzie to może być użyte w sposób najlepszy.

Dnia 7 listopada r. ub. na posiedzeniu pod przewodnictwem ks. biskupa Chaptal'a p. Baudouin odczytała raport p. Morienval'a o tem, jak się przedstawia kwestja filmowa. „Nie powtarzajmy z kinem tegoż błędu, — oświadczał p. Morienval — który katolicy francuscy popełnili w stuleciu dziewiętnastem z prasą! Nie składajmy na innych trudu ukazywania publiczności na filmach naszych wiernych, naszych świętych, naszych bohaterów! Przeniknijmy kino naszemi ideałami głęboko, uczyńmy zeń środek przenikania naszych wpływów moralnych i religijnych! Umiejmy posiadać dostateczną ilość ekranów oraz aparatów projekcyjnych, by wywierać w świecie filmowym i przezeń prawdziwy wpływ".

Z kolei p. Boissard rozważył łącznie z obecnymi dwa wielkiej wagi zagadnienia, narzucające się katolikom: czy wytwarzać filmy czy też otwierać coraz liczniejsze katolickie sale kinematograficzne. Mówca przechylił się na stronę zagadnienia drugiego, nietylko, jako najlepszego środka w dostarczaniu szerokim masom publiczności filmów moralnych, lecz także, jako środka, ułatwiającego wpływanie na producentów, żeby wytwarzali filmy o prawdziwej wartości.

Tego samego zdania był i ks. kanonik Brohée. Według niego, tworzenie sal jest łatwiejsze, niźli produkowanie filmów, gdyż w drugim wypadku producenci katoliccy natknęliby się na trudności natury tak pieniężnej, jak praktycznej, co jest obce ich konkurentom, starającym się zadowolić częstokroć płaskie nawet gusta publiczności.

Ostatni mówca, ks. prałat Beaupin, z wielką kompetencją wyłożył zagadnienie to z międzynarodowego punktu widzenia, podając przy okazji mnóstwo interesujących szczegółów o działalności „Komisji Opieki nad Dzieckiem" tudzież „Komisji Współpracy Intelektualnej" przy „Lidze Narodów" na polu kinematografji; o działalności „Międzynarodowej Komisji Filmu Wychowawczego"; o „Międzynarodowym Katolickim Kongresie Kinematograficznym", odbytym w miesiącu kwietniu r. ub. w La Haye, w Holandji; o „Międzynarodowej Katolickiej Służbie Kinematograficznej" oraz o „Międzynarodowym Instytucie Kinematografji i Wychowania", powstałym w miesiącu listopadzie r. ub. w Rzymie.

W dniu 7 listopada r. ub. w kościele św. Magdaleny odbyła się uroczysta Msza św. kongresowa. Na nią to przybyło wielu wytwórców filmów, dyrektorów kinematografów, reżyserów, krytyków, artystów. Obecnością swoją zaszczycili ją: ks. kardynał Dubois, ks. biskup Herscher, ks. biskup Julien, ks. biskup Chaptal, ks. prałat Debont, ks. prałat Beaupin. Podniosłe kazanie po Ewangelji wygłosił ks. biskup Julien.

* * *

Francja katolicka zajęła się już sprawą tego ważnego czynnika w życiu współczesnem, jakim jest kino, nie potępia go bynajmniej, lecz stara się go natchnąć duchem katolickim, czas zatem byłoby zrobić to samo u nas

także. Co można tylko, to już się robi. Gdzie niegdzie po parafjach istnieją kinematografy oddawna, dziennik „Polak Katolik" poświęca nieco miejsca na omawianie bieżących programów kinowych celem wykazania ich wad oraz zmuszania dyrekcyj kin do wyświetlania filmów porządnych, ale, by mieć dostateczny wpływ na te sprawy, potrzebna nam jest koniecznie specjalna organizacja. J. M. Ch.

Młoda Polka № II. Zajmujący i pożyteczny miesięcznik dla młodzieży żeńskiej w artykule wstępnym omawia „Wielką rocznicę powstania Polski" a w dziale poezyj zamieszcza „Modlitwę" poety Radwana z prośbą, aby Polska krajem orląt pozostała. Wiele interesujących szczegółów zawierają echa „Kongresu Eucharystycznego w Częstochowie" oraz „Święta Druchen". Żywo skreślone są opisy z obozów, kolonji letnich, kronika sportowa. W dziale przysposobienia rolniczego ryciny i wiadomości z lustracyj konkursów kukurydzianych wybijają się na pierwszy plan. Piękny wiersz Janusza Stępowskiego p. t. „Św. Franciszek i kwiaty", udatny fragment sceniczny p. t. „Przyrzekam", list Bronki, liczne fotografje ze Zjazdów i zlotów, urozmaicenia, figielki i zadania składają się na całość nr. Młodzież żeńska jak zwykle, tak i w tym nr. znajdzie odpowiednią strawę dla serca i umysłu. „Młodą Polkę" zamawiać należy w Sp. Akc. „Ostoja" Poznań. Pocztowa 15. Prenumerata kwartalna 60 gr.

Wiadomości z kraju i zagranicy.

W 50-tą rocznicę kapłaństwa Papieża Piusa XI. W dniu 25 grudnia r. ub. rozpoczęły się w Rzymie uroczystości jubileuszowe złotych godów kapłaństwa Papieża Piusa XI. Wziął w nich udział cały świat katolicki, by zaznaczyć swą łączność i jedność z opoką Piotrową, a równocześnie dać wyraz wielkiej czci i przywiązania, jakiem otacza w szczególności osobę Piusa XI.

Pięćdziesiąt lat dobiega od chwili, gdy Achilles Ratti, otrzymawszy święcenia kapłańskie, stanął w szeregach sług Bożych, nie przeczuwając zupełnie, że z pośród wielu wybrany jest, by był w przyszłości „Servus Servorum Dei" — Sługą Sług Bożych, w poczuciu wielkiej godności, włożonej na ułomne barki ludzkie, najniższy, ale w hierarchji kościelnej najwyższy, w pełność władzy królewskiej, kapłańskiej i pasterskiej wyposażony. Przechodząc kolejno przez wszystkie szczeble godności kapłańskiej, wieńczy wreszcie tiarą swe czoło i zasiada na tronie, którego nigdy nie obali żadna burza dziejowa, skoro tron ten jest fundamentem duchowej świątyni Kościoła widzialnego, a nad Kościołem i jego całością czuwa sam Chrystus.

Epoka dzisiejsza, pełna przełomów i kataklizmów dziejowych, domagała się wprost, by na Stolicy Piotrowej zasiadł mąż, któryby jaknajgodniej reprezentował tę siłę, która wprawdzie nie jest z tego świata, ale w świecie

musi rządzić. Bo z wyżyn Stolicy Piotrowej idą nietylko nakazy dla Kościoła świata całego i jego zwierzchników, ale promieniują też najwyższe postulaty moralne, wiążące wszelkie potęgi ziemskie. Od cezarów począwszy aż do czasów dzisiejszych papiestwo podejmuje walkę o prymat religji i prawa i nie waha się państwom wskazywać na obowiązek uznania i wprowadzenia w życie prawa Chrystusowego. „Wiedz, że jesteś ojcem książąt i królów, sternikiem świata, a na ziemi Namiestnikiem Zbawiciela naszego, Jezusa Chrystusa", — mówi Kardynał-Diakon, wkładając tiarę na głowę Papieża w dniu koronacji, wyrażając w tych słowach misję i posłannictwo Głowy Kościoła.

Spełnienie tej misji nawet w normalnych warunkach nastręcza olbrzymie trudności, gdy się zważy, że powszechny Kościół ma swych wyznawców wśród wszystkich narodów świata, różnych rasą, tradycjami, językiem i obyczajem, nierza ko wzajemnie poważnionych. Czasy zaś powojenne, znamienne przewrotami politycznymi i społecznymi, czasy wybujałego nacjonalizmu i nienawiści narodów, oskarżających się wzajemnie o wywołanie wielkiej wojny światowej i jej dotkliwych skutków, stwarzają obecnie może najtrudniejszą z dziejów Kościoła sytuację dla Namiestnika Chrystusowego.

Ale Opatrzność Boża osadziła na Stolicy Piotrowej męża tak szerokiego umysłu i głębokiej wiedzy, a przytem wielkiego serca, że pontyfikat Piusa XI, choć przypadł na czasy najcięższe, zapisze się złotemi zgłoskami w dziejach Kościoła katolickiego. Achilles Ratti jest przedewszystkiem, człowiekiem głębokiej wiedzy. Ozdobiony trzema doktoratami rzymskich akademji, przez całe swe życie, czy to jako profesor zakładów teologicznych, czy jako prefekt bibljoteki ambrozjańskiej, a potem watykańskiej oddaje się studjom i z zapylonych foljałów wydobywa nietylko suche teksty, ale mądrość życia, dziejowem doświadczeniem stwierdzoną, wielki i szeroki pogląd na świat, który mu pozwala jako Papieżowi nietylko objąć sytuację i wniknąć w ducha czasu, ale też jak najtrafniejszą i najwłaściwszą drogą prowadzić politykę kościelną ku chwale Kościoła i dla dobra narodow. Wzburzonemu i pokłóconemu światu rzuca tedy w swej programowej encyklice hasło: „Pokój Chrystusowy w Królestwie Chrystusowem", a równocześnie zaznacza najrozmaitszymi dokumentami swą działalność w dziedzinie pokoju międzynarodowego. Następnie zwraca się do wewnętrznego życia Kościoła, określa cel i zadania Akcji katolickiej, która ma przeciwstawić się laicyzmowi, a ogłaszając encykliką „Quas Primas" święto Chrystusa Króla, ma na celu przekształcenie świata w duchu Chrystusowym, jako jedyne lekarstwo na niedomagania społeczne i polityczne czasów dzisiejszych.

Wzrok Papieża sięga dalej; śladem swych wielkich poprzedników podejmuje z nadzwyczajną troskliwością i szczególnym zapałem dzieło misyjne; encyklika „Rerum Ecclesiae" z 28 lutego 1928 r. otwiera wprost nową erę w dziejach misji katolickich a Piusowi XI zyskuje tytuł Papieża misyjnego

Wzorowe urządzenie katolickiego przedsiębiorstwa fabrycznego w Belgji. Organ związku chrześcijańskich przemysłowców Belgji „De Christelijke Werkgewer" mający za zadanie wspierać w pierwszym

rzędzie akcję społeczną wśród pracodawców i robotników w myśl wskazówek papieskich ku obopólnej korzyści, ilustruje tę akcję na przykładzie fabryk de Beukellaar Freres S. A. w Antwerpji. Właściciel tego przedsiębiorstwa uważa sobie za obowiązek chrześcijański wypłacać robotnikowi prócz należnego zarobku, który temu robotnikowi przypada z tytułu umowy i który umożliwia mu utrzymanie rodziny, także jeszcze premję, wiążącą go osobiście z interesem fabryki. Oprócz tego istnieje t. zw. „Sekcja społeczna fabryk dde Beukellaar Freres", która roztacza opiekę nad pracą robotnika i nad całem jego życiem rodzinnem. Do dyrekcji owej sekcji należą: ksiądz, lekarz, prawnik, dyrektor fabryki, dwóch robotników, dwie robotnice i jeden urzędnik. Oprócz zwykłych dodatków rodzinnych robotnik otrzymuje gratyfikacje w wysokości 300 do 500 fr. z okazji pierwszej Komunji św. dziecka, małżeństwa lub śmierci kogoś z członków rodziny. Młodzi robotnicy, powołani do wojska, otrzymują w czasie służby wojskowej od 5 do 25 procent swego zarobku. W razie nieszczęśliwych wypadków, lub choroby wypłacana bywa cała pensja z potrąceniem 10 procent. Lekarz i środki lecznicze są bezpłatne. Sieroty otrzymują dodatki rodzinne, a bezrobotni mają fundusz zapomogowy. Pod koniec każdego roku wszyscy robotnicy i urzędnicy uczestniczą w podziale zysków w wysokości, określonej przez radę fabryki i uzależnionej od wielkości ich pensji. Robotnicy, wynagradzani tygodniowo, otrzymują co roku sześciodniowy urlop płatny, a ci, którzy pobierają wynagrodzenie miesięczne, korzystają z dwutygodniowego urlopu płatnego.

Sprostowanie.

W numerze styczniowym pojawił się artykuł p. t. „U wrót Nowego Roku" mylnie podpisany nazwiskiem Zygmunta Gąsiorowskiego. Prostujemy, iż autorem artykułu jest **Ksiądz Dyonizy Kajetanowicz ze Lwowa.**
